



NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron

Warszawa, 14 października 1951 r.

Nr 41 (81) Rok II

W NUMERZE m. in.: Stanisław Żytyński — O temat żołnierski w literaturze; Henryk Hubert — Przed bitwą; Grzegorz Jaszuński — Rodzina Bohlenów; Tadeusz Breza — Moskwa — Rostów nad Donem — Leningrad; Maria Jarochońska — Deszcz; Kazimierz Wyka — Pozycje Fredry; Tadeusz Drewnowski — Uwaga! Nowy człowiek; Grzegorz Timofiejew — Największa z ofensyw; Roman Bratny — Po linii energetyka Puszki; Anatol Agronowski i Wasyl Galaktionow — Niespokojny dzień; Jerzy Pomianowski — Interwencja; Ryszard Hładko — Z frontu komunistycznego budownictwa;

Odpowiedzi Józefa Stalina

na pytania korespondenta „Prawdy” w sprawie broni atomowej

(b) MOSKWA PAP. Dnia 6 października b. r. dziennik „Prawda” zamieścił następujące odpowiedzi Józefa Stalina na pytania korespondenta tego dziennika w sprawie broni atomowej:

PYTANIE: Co sądzicie o wrzawie, jaką wszczęła w tych dniach prasa zagraniczna w związku z próbą bomby atomowej w Związku Radzieckim?

ODPOWIEDZ: Istotnie, dokonano u nas niedawno próby jednego z rodzajów bomby atomowej. Próby bomb atomowych różnych kalibrów będą dokonywane również nadal zgodnie z planem obrony naszego kraju przed napadami agresywnego bloku anglo-amerykańskiego.

PYTANIE: W związku z próbą bomby atomowej rozmaici działacze USA biją na alarm i krzyczą o zagrożeniu bezpieczeństwa USA. Czy istnieje jakakolwiek podstawa do takiego alarmu?

ODPOWIEDZ: Do takiego alarmu nie ma żadnych podstaw.

Działacze USA nie mogą nie wiedzieć, że Związek Radziecki jest nie tylko przeciwny stosowaniu broni atomowej, lecz jest również za jej zakazem, za zaprzestaniem jej produkcji. Jak wiadomo, Związek Radziecki kilkakrotnie żądał zakazu broni atomowej, lecz za każdym razem spotykał się z odmową mocarstw bloku atlantyckiego. Znaczący to, że w wypadku napadu USA na nasz kraj kółła rządzące USA będą stosowały bombę atomową. Ta właśnie okoliczność zmusiła Związek Radziecki do posiadania broni atomowej, ażeby spotkać agresorów w pełnym uzbrojeniu.

Agresorzy chcą oczywiście, ażeby Związek Radziecki był bezbronny w wypadku ich napadu na Związek Radziecki. Ale Związek Radziecki z tym się nie zgadza i sądzi, że agresora należy spotkać w pełnym uzbrojeniu.

A zatem, jeżeli Stany Zjednoczone nie zamierzają dokonać napadu na Związek Radziecki, alarm wszczęty przez działaczy USA uważa się za bezpodmiotowy i fałszywy, albowiem Związek Radziecki nie myśli nawet o tym, ażeby kiedykolwiek napadnąć na USA lub którykolwiek inny kraj.

Działacze USA niezadowoleni są z tego, że tajemnicę broni atomowej posiadają nie tylko Stany Zjednoczone, lecz także inne kraje, a przede wszystkim Związek Radziecki. Chcieliby oni, ażeby Stany Zjednoczone posiadały monopol w zakresie produkcji bomby atomowej, ażeby Stany Zjednoczone miały nieograniczone możliwości straszenia i szantażowania innych krajów. Ale na jakiej właściwej podstawie myślą oni w ten sposób, z jakiego tytułu? Czy monopol tego rodzaju leży w interesie zachowania pokoju? Czy nie będzie słusniejsze, jeżeli powiemy, że sprawy mają się akurat odwrotnie, że właśnie w interesie zachowania pokoju potrzeba przede wszystkim likwidacji takiego monopolu a następnie bezwzględnie zakazu broni atomowej. Sądzę, że zwolennicy bomby atomowej mogą się zgodzić na zakaz broni atomowej tylko w wypadku, gdy zobaczą, że nie są już więcej monopolistami.

PYTANIE: Co sądzicie o międzynarodowej kontroli w dziedzinie broni atomowej?

ODPOWIEDZ: Związek Radziecki wypowiada się za zakazem broni atomowej i za zaprzestaniem produkcji broni atomowej. Związek Radziecki wypowiada się za ustanowieniem kontroli międzynarodowej nad tym, ażeby decyzja o zakazie broni atomowej i zaprzestaniu produkcji broni atomowej i o wykorzystaniu już wyprodukowanych bomb atomowych wyłącznie dla celów cywilnych — wykonywana była jak najściślej i jak najsumiennie. Związek Radziecki wypowiada się za taką właśnie kontrolą międzynarodową.

Działacze amerykańscy również mówią o „kontroli”, ale ich „kontrola” bierze za punkt wyjścia nie zaprzestanie produkcji broni atomowej, lecz kontynuowanie takiej produkcji, i to w ilościach, odpowiadających ilości surowców, jakimi rozporządzają te czy inne kraje. A zatem, „kontrola” amerykańska bierze za punkt wyjścia nie zakaz broni atomowej, lecz jej legalizację i usankcjonowanie. W ten sposób sankcjonuje się prawo podżegaczy wojennych do mordowania za pomocą broni atomowej dziesiątków i setek tysięcy spokojnej ludności. Nie trudno zrozumieć, że nie jest to kontrola, lecz naigrawanie się z kontroli, oszukiwanie pokojowych dążeń narodów. Rzecz zrozumiała, że taka „kontrola” nie może zadowolić narodów milujących pokój, które żądają zakazu broni atomowej i zaprzestania jej produkcji.



Wycieczka Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej na Wzgórzach Leninowskich, gdzie powstaje zespół gmachów Uniwersytetu Moskiewskiego

„...Lecz po trzykroć — jutrzejszy dzień jej”

W Berlinie, na międzynarodowym spotkaniu pisarzy, przemawiał delegat Costariki. „Kraj mój — powiedział — leży nad Kanałem Panamskim. To jego nieszczeście”. Prawda tych słów, pozornie paradoksalna, jest zastanawiająca i potworna. W świecie kapitalistycznym wszystko obraca się przeciwko człowiekowi. Dogodne położenie geograficzne na szlaku handlowym, bogactwa naturalne, dobre urodzaje, klimat nawet — wszystko, co z istoty swej winno sprzyjać zwyżczajemu szczęściu ludzkiemu — tam staje się nieszczęściem. Urodzaje zle czy dobre — niosą nędzę. Bogactwa naturalne ściągają imperialistycznych łupieżców, niosą nędzę i niewolę. Dogodne położenie geograficzne zwraca uwagę swą przydatnością do celów nie wspólnego z pokojowym rozwojem narodów nie mających, niesie nędzę, niewolę i wojnę.

My — należymy już do innego świata. Przed siedmiu laty pierwsze miasta i wsie polskie przeniosły się na kontynent rewolucji socjalistycznej. Szczęśliwsi z kontynent i piękniejsi! Tu w mroź u pał, w głębi lądu i na brzegu morskim — geografia jest zawsze zwyciężona — człowiekowi. Człowiek — zmienia i ulepsza geografę. Jemu służą kanały, już istniejące i te, które sam przekopuje. Jemu służą rzeki, płynące w swoich odwiecznych korytach i te, których biegiem kieruje według swej woli. Jemu służą lasy i pola urodzajne, słońce i skarby ziemi, elektryczność i rozbity atom, turkot maszyn w fabrykach i wysiłek jego pracujących rąk, jego śmiałość mózgu. Taki jest kontynent wolności, który odkrył i zdobył bohaterowie Października i pięcioletek Stalinowskich, mężni i mądry obywatele pierwszego na świecie państwa robotników i chłopów, Związku Socjalistycznych Republik Rad. Nasz kontynent.

Czymże jest przyjaźń w świecie socjalizmu? Wiele mogłaby nam o tym opowiedzieć granica między Związkiem Radzieckim a Polską. Spójrzmy na tę granicę. Przekraczały ją oddziały Armii Czerwonej w swym wyzwolenym marszu. Niosły wolność naszej ojczyźnie, śmierć faszystowski. Z nimi szły dywizje Wojska Polskiego, wyszkolone, umundurowane i uzbrojone nad Wolgą i Oką. Parskając i sapiąc, przetoczyły się przez granicę pociąg z mąką dla głodnej Warszawy. Później ruszyły cięższe składki — pękate maszyny niecierpliwie rozpalają się w wagonach — to urządzenia Nowej Huty i Żerania, Piotrkowa i Dychowa. Maszynom towarzyszyli radzieccy inżynierowie i technicy, cudotwórcy budownictwa socjalistycznego. Wiele widziała nasza granica! Przelatywali nad nią radzieccy dyplomaci, aby

bronąć pokoju wszędzie tam, gdzie jest zagrożony. Ciekawie rozglądając się, minęła granicę Lidia Korabielnikowa, zaproszona przez młodzież polską, pracującą jej metodą. Tędy jechali też pisarze i artyści radzieccy, śpiesząc do Polski, aby podzielić się z nami doświadczeniami sztuki realizmu socjalistycznego. W odwrotnym kierunku przekraczali granicę chłopcy polscy, pragnący zapoznać się z życiem kolchozowej Ukrainy. U schyłku lata, co roku wyjeżdżają studenci polscy po wiedzę do Moskwy i Leningradu. Nasza granica! Cóż jest piękniejszym od jej dziejów świadectwem przyjaźni bezinteresownej i radosnej, mądrej i hojnej, braterskiej przyjaźni Związku Radzieckiego z Polską Ludową, przyjaźni w świecie socjalizmu!

Nie pierwszy raz po wojnie zaczynamy Miesiąc Pogłębiań Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Jak i w latach ubiegłych, postaramy się w ciągu tego miesiąca lepiej i gruntownie poznać życie kraju Rad, jego nie mające przykładu w historii osiągnięcia, jego kulturę. Postaramy się nie wymagając już tłumaczeń żarliwą serdecznością i wdzięcznością pogłębić o wiedzę, utrwalić wiedzę o Związku Radzieckim. Będziemy myśleli o chlubnej bojowej przeszłości naszej przyjaźni, o jej radosnej teraźniejszości. I — przede wszystkim — o przyszłości.

Pisał niegdyś największy poeta naszej epoki:

„Jam wśród tych
co budować
i czyścić
wysili

w nieprzerwanym
gorącym
powszedniej.

Stawię ojczyznę
wspaniałe dzisiaj,
lecz po trzykroć —
jutrzejszy dzień jej.

Widzę —
w miejscu, gdzie śmieci dziś
złożą

lub naga ziemia po prostu —
widzę,
ugłębiając się wzrokiem na sążeń
jak domy
komuny
rosną...”

Trudno chyba o piękniejsze i dobitniejsze określenie, czym jest patriotyzm człowieka, budującego wraz ze swym narodem socjalistyczną ojczyznę. W okresie poematu „Dobrze” podobne uczucia mogły być jedynie własnością obywatela Kraju Rad. Dziś — tymi samymi słowami mówi o nich jedna trzecia kuli ziemskiej. Także i my, Polacy. Kochamy i sławimy wspaniałe dzisiaj naszej ojczyzny. Fundamenty pierwszych domów w Tychach, taśmę montażową Żerania, rudowęglowe Gdańską i Szczecin, pierwsze szyby warszawskiej Metalbudowy. Nasz dzień powszedni: burzliwe zebrania w spółdzielniach produkcyjnych, czyny klasy robot-

niczej, egzaminy na wyższych uczelniach, ochotnicze odgruzowanie stolicy. Trud naszych ludzi: nureka, wydobywającego z dna morza stalowe cielsko pancernika, górnik, nieustępliwie i zwycięsko atakującego oporny front węglowy, artyści, uwieczniający w kamieniu nasze rewolucyjne tradycje. Pierwszy prąd Dychowa jest prądem miłości, który łączy nasze serca. Kochamy i sławimy wspaniałe dzisiaj naszej ojczyzny.

„Lecz po trzykroć — jutrzejszy dzień jej”. Jutrzejszy dzień, który w Związku Radzieckim jest dniem dzisiejszym.

Odczytujemy prawniczo — nacjonalistyczne uparcie zasłaniał nam oczy, pragnące spojrzeć w przyszłość. Usiłując zatrzymać w miejscu — nie, cofnąć! — rewolucyjny rozwój kraju, ukuli prymitywną i wstępną teorię o „polskiej drodze do socjalizmu”. Dziś wiemy, że było to coś gorszego niż nieuctwo i ślepot polityczna. Była to zła wola ludzi, którzy nie kochali nie tylko Związku Radzieckiego. Nie kochali oni także Polski.

Partia, która pokonała odchylenie, uczy nas analizować teraźniejszość i jasnym wzrokiem spoglądać w przyszłość. Uczy nas rozumieć, że państwo demokracji ludowej jest państwem rewolucji socjalistycznej, państwem dyktatury proletariatu. W numerze „Nowych Drog”, poświęconym 70-leciu urodzin wielkiego wodza pracującej ludzkości, pisał towarzyszy Minc:

„Linia rozwoju ZSRR i linia demokracji ludowej w żadnym razie nie są dwiema liniami równoległymi, które jeżeli przecinają się gdzieś, to w nieskończoności. Wręcz przeciwnie, linia rozwoju krajów demokracji ludowej stromo zmierza do drugiej fazy rozwojowej państwa socjalistycznego, do społeczeństwa socjalistycznego. Co oznacza kierunek tej linii? Nie oznacza on nic innego, jak dążenie do tego, aby: nadrobić opóźnienie historyczne, dogonić ZSRR i pójść razem i pod jego przewodnictwem do komunizmu. Uzbrojeni w nauki Stalina cel ten osiągniemy”.

Osiągniemy, bo już dziś ten jutrzejszy dzień ojczyzny kochamy, marzymy o nim, pracujemy dla niego.

Osiągniemy, bo: — Łatwiej nam budować, gdy wspieramy się o braterskie ramie Związku Radzieckiego.

— Większa jest nasza pewność zachowania pokoju, gdy pokoju broni Związek Radziecki.

— Lepiej rozumiemy, goręcej pragniemy socjalistycznej przyszłości, gdy piękne rysy tej przyszłości dostrzegamy w radzieckiej teraźniejszości.

Nie ma patrioty Polski Ludowej, który by inaczej widział jutro ojczyzny. Nie ma patrioty polskiego, który by nie kochał gorącego Związku Republik Rad.

Wiktor Woroszyński

WANDA WASILEWSKA

PRZYSIĘGA

(Z rozdziału X-go powieści „Rzeki płyną”, która ukaże się nakładem wyd. MON)

W ieje wiatr. Kołyszą się miotły sosen, ciępiły, gwałtowny wiatr. Skąd idzie wiatr, szumiący, bujny, radosny?

Szeleszczą, szumią sosny. Jaka też jesteś, sosno, skądś się wzięła, sosno? Z podwarszawskich piaszczyńskich lasów, z mazowieckich wynurzeń, zielona, żywica pachnąca...

Można przymknąć oczy — i gdzie się jest? W lasu sosnowym, w pachnącym lasu pod Aninem, pod Rembertowem, w Miłosinie, w Miedzeszynie... Tylko czekać, rozlegnie się znany dźwięk — pędy elektryczka z Warszawy. Wysypią się ludzie na przystanku, młodzież, dzieci, kobiety. Rozlegnie się gwar, wesółe śmiech, śpiewanie po sosnowym leśnie. Zielony jest sosnowy las, pachnący sosnowy las. Żywica, świeżym, ostrym zapachem rozgrzanego słońcem, rozbujałym wiatrem zieleni, oczyszczoną pachnie sosnowy las...

I rżnięć nie trzeba zamykać oczu. Można popatrzeć. Kołysze się, chwieje, szumi zielony sosnowy, oczyszczony, znany od dziecka las.

A dalej rzeka — jakże się nazywa, rzeka, tak podobna, rzeka po nocach tamtą melodią szumiącą, tamtym blaskiem lśniąca w lipcowym słonecznym upale?

Kto też wymyślił, kto mógł wymyśleć takie miejsce, żeby było właśnie tak? Żeby nie było tam inne, cudze, odmienne. Mieni się Oką Wisłą, podwarszawskimi sosnami szumi las. Bądź pozdrowiona, polska, radziecka rzeka, gładząca polską mowę. Bądź nie pochwalona, rolnicze sosny, siostry rodzone aninowskich, rembertowskich, śródborcowskich sosn.

Szeregowiec Marcell Rojek stoi wyprężony na baczność. No tak, widział się przecież od pierwszego dnia, że jest właśnie tak — że na tym kawałku ziemi znalazło się jakby odbicie swoich stron. Zauważali to przecież wszyscy. Od pierwszego momentu to chwyciło za serce, jeszcze nim się zobaczyło napis na bramie, prowadzącej do obozu — Witaj, wczorajszemu tułaczowi, dziś żołnierzowi!

Mocno zaciskają się palce na karabinie. Nie, to już nie marzenia przedsenne, samemu sobie szeptał w długie wieczory, nim sen ogarnie głowę. To już nie fantazja, poza którą nie stoi nic poza gorącym pragnieniem. I to już nawet nie traktor w sowchozie. Gdyby tak mógł teraz zobaczyć Ilię — w prawdziwym mundurze, z nowiutkim karabinem w ręku... Gdyby tak teraz mógł go zobaczyć stary Jagor...

Od krawca do krawca wielkiej polany równo, długie szeregi. Rozwiewa wiatr sztandary na trybunie. Łopocze ciężko wyszyty złotem, srebrnymi nićmi, atłasem i jedwabiem sztandar dywizji.

Szyły sztandar nocą i dniem z ręcznymi palcami robotnic moskiewskiej pracowni. Dobierały nitki, sprawdzały po tysiąc razy wzór. Wyszły więc nie zrozumiałe słowa, niezrozumiałe litery; Honor i Ojczyzna. Słowa w obcym dla nich języku: Za naszą wolność i waszą.

Nitka złota, nitka sztywna i twarda. Trudno wyszyć oblicze patrona dywizji — Kościuszki. Trudno wyszyć orła srebryzłego. Pióreczka jedno po drugim, linie gładkie, aż się ułożą pióreczka ptasie na skrzydła szerokie, piastowskiego orła skrzydła. Wieniec liści laurowych — wygina się miękko wieniec z liści laurowych. Komuż przypadał ten laur, któż się tym laurem uwieścił? Szyły w dzień i noc żony czerwonoarmiejskie, siostry czerwonoarmiejskie...

ców sztandar złoty i srebrny dla żołnierzy innej, bratniej dywizji. Znalazły się w skarbcu nici złota i srebra, nie szych, złoto czerwone, wysokiej próby, srebro znakiem pieczęci znaczone, dobyte w kopalniach dalekich sprawną dłońią radzieckiego robotnika. Krótki jest termin — prędko leć latnie dni i krótkie są letnie moskiewskie noce. Nie liczy się godzin. Zakryte ciemnym papierem okna — jest przecież wojna. Za ciemnymi oknami siedzą w pracowni żony, matki i siostry czerwonoarmiejskie, moskiewskie robotnice. Noc i dzień, noc i dzień, tu się nie spogląda na wiszący na ścianie okrągły zegar, obojętnie odmierzający godziny. Herbata, podgrzana na elektrycznej płytce, kawałek chleba, odwinęty z papieru. Nie ręka haftuje sztandar — miłość haftuje sztandar. Złota nitką whaftują się w sztandar srebro moskiewskich robotnic, srebrną nicią whaftuje się w sztandar serdeczna troska moskiewskich robotnic.

Trudny jest wzór, zawily. O ilez prostsze, bardziej zwykły są te sztandary, pod którymi idą na bój ich meżowie, synowie, bracia. O ilez mniej wymagają roboty. Ale to nie, to nie. Tamtych dywizji jest dużo, tamtych dywizji jest setki, tamte dywizje biją się już od dwu lat. A ta jest tylko jedna i po raz pierwszy wyrusza w bój. Nie żal wyrzucić snu, haftując sztandar tym przybyszom z sąsiedniego kraju, którzy jeszcze taki daleki szlak mają przejść do swojej ojczyzny... Niechże im tę drogę oziści serce moskiewskich robotnic, niechże im ją osrebrzy ich uśmiech dobry i życzenie serdeczne...

Ciężko łopocze sztandar pierwszej dywizji. Z trudem wzdyma wiatrakanie mieśnistą, ciężką od srebra i złota. Sztandar, taki jak był — i

(Ciąg dalszy na str. 6-cj i 7-ej)

STANISŁAW ŻYTYŃSKI

O temat żołnierski w literaturze

Przy pobieżnej nawet ocenie problematyki współczesnej literatury w Polsce rzucić się musi w oczy, że problem wojna i obronności kraju nie znalazł w niej dotychczas dostatecznego odbicia.

Jest poważnym brakiem fakt, że do dnia dzisiejszego nie ma w dorobku naszej literatury powojennej większego utworu o pierwszym boju I Dywizji Kościuszkowskiej — pod Lenino. Nie łatwo zrozumieć, dlaczego bohaterkie boje Wojska Polskiego natchnęły dotychczas tak niewielu pisarzy. Dlaczego przebrnęli temat o pokojowej pracy żołnierza w Ludowym Wojsku do dnia oczekuje podjęcia przez twórców. Dlaczego posiadamy tak niewiele, i tylko drobniejszych pozycji literackich o niezłomnym braterstwie broni z Armią Radziecką, braterstwie stanowiącym podstawę siły i gotowości bojowej Wojska Polskiego.

Tych kilka tematów oczekujących jeszcze ciągle na pióro pisarza nie wyczerpuje zagadnień współczesnej problematyki ludowego wojska. Ogromne źródło niewykorzystanych dotychczas tematów kryją w sobie wielowiekowe dzieje oręża polskiego. Należałoby głębiej niż dotychczas sięgnąć do postępów tradycji naszego Narodu, do bohaterkich czynów bojowych Wojska Polskiego, walczącego z obcym najeźdźcą w obronie Ojczyzny od Grunwaldu aż po zmagania ostatniej wojny, aby — jak powiedział tow. Bierut — „wydobyc z mroków historii wiele z tych osiągnięć i wiele postaci, na których talentach, ofiarnych wysiłkach, poświęceniu i bohaterstwie powinniśmy samą się uczyć i uczyć naszą młodzież, ponieważ dawne klasy panujące nie pokazywały najczęściej narodowi tego, co najbar dziej było w nim cenne, wartościowe, postępowe i twórcze”.

Porównanie dorobku literatury polskiej w zakresie problematyki wojskowo-żołnierskiej z analogicznymi osiągnięciami pisarzy innych państw demokracji ludowej, np. Czechosłowacji, wypadła zdecydowanie na naszą niekorzyść. Wystarczy nadmienić, że pierwsze boje Armii Czechosłowackiej w Przełęczu Dukielskiej doczekały się już utrwaleń w literaturze w postaci znanej sztuki Maresza i Fabera pt. „Dukla”, szeregu utworów poetyckich i dużej ilości prozy. Kompozytorzy oraz plastycy również podjęli ten temat dając ze swej strony wiele interesujących prac. Tak samo i w pozostałych krajach demokracji ludowej tematyka wojskowa w jak najszerzym znaczeniu zdobyła sobie prawo obywatelstwa w literaturze.

Zbytecznym byłoby wyjaśniać, jak ogromną rolę odegrała radziecka literatura wojenna i to nie tylko w czasie trwania wojny, ale i po jej zakończeniu. Na przykładach bohaterów Niekrasowa, Werszyhory, Beka i innych wychowują się do dziś dnia szerokie masy żołnierskie i młodzieżowe.

Przed kilku miesiącami w Centralnym Domu Armii Radzieckiej odbyło się spotkanie literatów z wojskiem, na którym przedyskutowano interesujące zagadnienie: dlaczego w literaturze radzieckiej nie występuje żołnierz lat powojennych — i dlaczego pokojowa praca armii w tak niedostateczny dotychczas sposób zainteresowała pisarzy. Spośród szeregu tematów i form współpracy wojska z twórcami, omówionych na tym spotkaniu, wiele dałoby się zastosować do naszych warunków.

Ale przede wszystkim sam problem żołnierza Ludowego Wojska Polskiego, jego zaszczytny obowiązek obrony Ojczyzny winien być dla pisarza drogi i bliski. Ogół pisarzy musi zrozumieć, że ta luka, istniejąca do dnia dzisiejszego w dorobku naszej współczesnej twórczości literackiej, jest poważnym długiem, nie spłaconym dotychczas przez autorów Państwu Ludowemu i jego wojsku.

Koniecznym jest, aby pisarze zdali sobie sprawę z rozpiętości i zasięgu tego tematu. Problematyka wojskowa „żołnierska” nie jest problematyką wyizolowaną, jest ona nierozdzielnie związana z całością zagadnień aktualnych, ważnych w skali ogólnonarodowej. Jest to poza tym, w równej mierze, problem żołnierza aktualnie pełniącego służbę w wojsku, jak obywatela mającego jako poborowy wstąpić do wojska, oraz żołnierza, który odbył służbę wojskową i jako rezerwista przeszedł do pracy cywilnej na ważnych odcinkach gospodarczego życia w kraju.

Ogromne bogactwo tematu kryje się jednak w samej służbie wojskowej. Zaszczytny obowiązek obywatela oddającego ewe siły codziennej pracy wyszkolonej dla sprawy obronności kraju, dla zapewnienia bezpieczeństwa bohaterkiej klasie robotniczej, wznoszącej wspaniałe gmachy Wielkiego Planu, głęboka świadomość politycznego celu, jaką przepony jest żołnierz ludowego wojska i wypływający z tej świadomości, szeroko rozwinięty wśród żołnierzy ruch przodownictwa w użyciu jako najlepszych wyników wyszkolenia, to tylko mały wycinek bogatej problematyki życia żołnierskiego. Poza tym zasadniczym celem pracy wojska istnieje jeszcze szereg zagadnień pobocznych. Indywidualny rozwój żołnierza nie tylko pod względem wiedzy fachowo-wojskowej, ale i wykształcanie jego moralno-politycznej postawy,

jego społecznej dojrzałości, tętny fizycznej i niejednokrotnie zawodowe przygotowanie do pracy cywilnej — to również interesujący dla pisarza temat. Znaczną część społeczeństwa nie dostrzega jeszcze wyraźnej różnicy pomiędzy świadomym swych celów ludowym wojskiem a ślepą, bezduszną machiną przedwojennej armii, utrzymywanej w brutalnym „drylu kapraleskim”, jako siły przemocy w stosunku do klasy pracującej. Ukazać tę różnicę od strony wewnętrznej treści życia żołnierza to poważne zamówienie społeczne oczekujące pisarzy.

Również i sama scenaria zbiorowego współżycia żołnierzy, pełen dynamiki i żywiołowego humoru nastrój sal żołnierskich czy namiotów obozowych, winien stanowić dla autorów dodatkową zachętę do podjęcia tego tematu.

Tymczasem dotychczasowy dorobek naszej twórczości literackiej związanej z życiem żołnierza jest bardzo skromny i nie pozostaje w żadnym stosunku z ogromnym i wciąż wzrastającym zapotrzebowaniem samego wojska i społeczeństwa.

Stosunkowo najlepiej, choć również niewystarczająco przedstawia się pod tym względem odcinek twórczości poetyckiej. Zbiory poezji i pojedyncze utwory napisane w czasie wojny, lub bezpośrednio po jej zakończeniu, to podstawowy materiał konsumowany do dnia dzisiejszego przy wszelkiego rodzaju okazjach. Wiersze Sienkiewicza, Putramenta, Broniewskiego, Ważyka, Pasternaka i innych wydane w różnych antologiach i rocznikach zbiorach, powtarzane przy wszelkich wojskowych uroczystościach, stanowią żelazny repertuar świetlic żołnierskich, robotniczych, wiejskich i młodzieżowych. Późniejsze lata powojenne wzbogaciły ten repertuar zaledwie kilkoma pozycjami. Cztery poematy o gen. Świerczewskim: Broniewskiego, Lewina, Stillera i Woroszyńskiego, oraz pojedyncze utwory poetyckie Brauna, Gałczyńskiego, Woroszyńskiego, Gruszczyńskiego, Lewina, Prutkowskiego, Urgacza i kilku innych, stanowią właściwie cały dorobek współczesnej poezji żołnierskiej.

Znacznie skromniej w powojennej twórczości reprezentowana jest tematyka wojskowa na odcinku prozy. Wydane w pierwszym okresie książki Pruszyńskiego czy Meissnera, przepełnione romantyką żołnierskich walk na zachodzie, nie mogą

być uważane za najcelniej utrafioną realizację wojskowego tematu. Dotkliwego braku dobrej realistycznej powieści o wojsku nie zaspokajają tak nieeliczne pozycje książkowe, jak utwory Broniewskiej i Hena. Dopiero ostatnie miesiące zdają się zapowiadać pewną poprawę na tym odcinku. Ożywienie wśród pisarzy na tle rewizji września (przygotowywane do druku książki Putramenta, Zukrowskiego) oraz powieść Czeskiej o podziemnej walce żołnierzy A.L. w Warszawie („Pokolenie”) stanowić będą znaczniejsze pozycje na tym zaniedbanym odcinku.

Nieco obfitych pól można zanotować w dziale twórczości tekstów pieśni żołnierskich. Kilkadziesiąt pozycji, wydanych w pierwszych latach powojennych w śpiewnikach żołnierskich, uzupełnionych zostało w ostatnim okresie szeregiem nowych utworów, zarówno nawiązujących do tradycji bojowych oręza polskiego jak i dotyczących współczesnej problematyki. Pewnym krokiem naprzód był ogólnopolski konkurs na pieśń żołnierską zorganizowany w połowie bieżącego roku przez Dom Wojska Polskiego i Związek Kompozytorów Polskich. Wśród tekstów pieśni żołnierskich brak jednak jeszcze ciągle lekkich pieśni i piosenek typu esradowego i rozrywkowego. Poza tym pieśń żołnierska to nie tylko tekst, ale i przystępna, prosta i ładna, wpadająca w ucho melodia. A z tym, jak na razie, sprawa nie przedstawia się najlepiej.

Najbardziej jednak obojętnym dla potrzeb wojska działem twórczości okazała się twórczość dramatyczna. Do chwili obecnej nie posiadamy ani jednej kwalifikującej się do wystawienia, pełnospektaklowej sztuki, która by mówiła o bohaterkich walkach Ludowego Wojska; jednakość w tym temacie można by policzyć na palcach jednej ręki. A co dopiero mówić o odleglejszych dziejach oręza polskiego, o współczesnym dramacie na temat postępowych tradycji walk wyzwolczych, stanowiących niezwykle cenny materiał wychowawczy dla żołnierza. Pierwszym krokiem w tej dziedzinie jest w pewnym stopniu „Wzór 35” Lutowskiego. Ten, tak dotkliwy brak repertuaru teatralnego winien natchnąć głęboką troską pisarzy i spowodować z ich strony wzmocnienie wysiłków w tym kierunku.

gorzej od twórczości dramatycznej wygląda jedynie repertuar

estrady: żartobliwa piosenka, socjiczny obrazek rodzajowy, humorystyczna i satyra żołnierska. Na tym odcinku poza jednym utworem Jurandota i kilkoma próbami Prutkowskiego nie ma do zanotowania żadnych sukcesów. Problematyczną zaś pociechą może być fakt, że i poza tematyką wojskową ten dział twórczości nie święci triumfów.

Nawet przy tak pobieżnym przeglądzie poszczególnych działów twórczości literackiej, dokonany pod kątem tematycznego powiązania ich z problematyką wojskową, narzucić się musi nieodparty wniosek: jedno z najpoważniejszych zamówień społecznych, skierowanych pod adresem pisarzy polskich, nie zostało dotychczas wykonane. A przecież wśród najwybitniejszych twórców naszej literatury znajduje się szereg byłych żołnierzy I i II-ej Armii, którzy brali bezpośredni udział w walkach na szlaku bojowym Ludowego Wojska od Lenino do Berlina, Łaby, Drezna i Pragi Czeskiej.

A tymczasem świetlice żołnierskie, robotnicze, wiejskie i młodzieżowe czekają na nową twórczość literacką o wojsku, czekają na ten nowy repertuar teatru amatorskiego i zawodowego. Znaczący rozwój amatorskiego ruchu artystycznego, jaki daje się zauważyć w ostatnich latach, jest jednym z przejawów ogólnej walki o umasowanie kultury, która dopiero dziś, w warunkach zwycięstwa władzy ludowej może stać się prawdziwie powszechną i masową. Prowadzona w coraz doskonalszej formie praca amatorskich zespołów artystycznych wyzwała coraz większe bogactwo niewyczerpanych możliwości twórczych klasy pracującej, rozwija coraz szerszą inwencję twórczą młodzieżowych zespołów artystycznych stając się równocześnie potężnym orężem w ogólnej walce o nową sztukę.

Możliwość współpracy twórców z wojskiem są przeróżne. Wierzący dyskusyjnie, udział pisarzy w imprezach wojskowych, a nawet wymiana listów albo bezpośrednia współpraca twórcy żołnierza z pisarzem — oto pierwsze z brzegu propozycje. Niezbędnym jednak warunkiem tej współpracy jest chętny stosunek do samego zagadnienia. Chodzi o to, by ogół pisarzy zrozumiał jego wagę i podjął godnie doniosły, a tak zaniedbany temat żołnierski.

Stanisław Żytyński

GRZEGORZ JASZUŃSKI

RODZINA BOHLENÓW

W 1911 r. koncern zbrojeniowy Kruppa obchodził uroczystie jubileusz setnej rocznicy powstania. Prasa kaiserowskich Niemiec nie żałowała miejsca na opisy „dobrodziejstw” koncernu oraz na pochwały właścicieli firmy, którzy zresztą nienajgorzej za tę reklamę placili. Właścicielami koncernu byli wówczas baron Gustaw von Bohlen und Halbach oraz jego żona Berta z domu Krupp, jedyna dziedziczka olbrzymiego spadku po założycielu firmy, Fryderyku Kruppie.

Imię Berty zostało „uwiecznione” przez nazwanie „grubą Bertą” najdoskonalszego wyrobu koncernu — dalekosieżnej armaty, która w 1918 r. ostrzeliwała Paryż. Znalezione również sposób, by nie poszło w zapomnienie rodowe nazwisko Krupp: baron Gustaw przybrał to nazwisko i przeszedł do historii jako jeden z głównych organizatorów pierwszej wojny światowej właśnie pod długim nazwiskiem Krupp von Bohlen und Halbach.

Nie przewidywali wówczas Gustaw i gruba Berta, że za kilkadziesiąt lat sytuacja się odwróci i że trzeba będzie raczej przemilczać nazwisko Krupp, a szczyt się nazwiskiem Bohlen. Tak się dzieje w roku 1951.

Syn Gustawa, Alfred, co prawda zwolniony został w lutym r. z więzienia, choć skazany był w 1948 r. na 12 lat i choć prokurator amerykański Taylor mówił podczas procesu, że „nie było zbrodni popełnionej przez hitlerowców — obojętne, czy to była wojna, rabunek czy niewolnictwo — w której nie uczestniczyli Kruppowie”. Syn Gustawa, Alfred, co prawda odczekał cały swój miliardowy majątek, choć amerykański trybunał wojskowy w Norimberdze uznał go winnym „popelnienia zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości”. Leczą z „wrodzonej skromności”, a może raczej, by nie drażnić ludzi, syn Gustawa i Berty wolał przemianować swą firmę i potężne zakłady Kruppa, które wznowiły produkcję broni, nazywając się teraz „Huettnerwerk Rheinhausen AG”.

Inne były koleje losu kuzyna Alfreda Kruppa. Ten bratanek „starego” Gustawa jest obywatelem amerykańskim i ze zrozumiałych względów woli się nazywać Charles Bohlen. Najmłodszy Bohlen zrobił wielką karierę w służbie amerykańskiego imperiaizmu i może teraz okazać niejedną przysługę swym „biednym” krewnym w Trizonii. Bohlen uchodzi za „specjalistę od spraw rosyjskich” w Departamencie Stanu. Bohlen na wiosnę r. był głównym doradcą delegata amerykańskiego na paryskiej konferencji zastępców 4 ministrów spraw zagranicznych i — jak pisał wówczas paryski „Combat” — „nigdy nie ukrywał swego zamiaru zerwania mostów i zlikwidowania możliwości kompromisu”.

W swej trosce o jak najszybsze powiększenie zysków fabrykantów broni, a wśród nich — „biednych” niemieckich Kruppów, Bohlen ostatnio, na początku października r., towarzyszył amerykańskiemu szefowi sztabu w podróży do Japonii i na Koreę i wziął czynny udział w opracowywaniu planów rozszerzenia amerykańskiej agresji na Dalekim Wschodzie.

Przykład rodziny Krupp-Bohlen jest jednym z licznych przykładów ztwardziałego powiązania interesów kapitalistów i polityków amerykańskich i niemieckich. Powiązania te datują się jeszcze z końca XIX wieku, a jak mówi niemieckie przysłowie „Alte Liebe rostet nicht”. (Stara miłość nie rdzewieje).

W ostatnich latach XIX stulecia zawarty został układ między niemieckim koncernem elektrotechnicznym AEG i należącym do rodziny Morganów amerykańskim koncernem General Electric. Współpraca rozwijała się doskonale i wkrótce Lenin mógł wymienić te dwa koncerny jako przykład podziału świata między związkami kapitalistów, pisząc: „W r. 1907 między trzema amerykańskimi a niemieckimi została zawarta umowa co do podziału świata. Konkurencja zostaje usunięta... Wprowadzono wzajemną wymianę wynalazków i doświadczeń”. Według określenia Lenina powstał w ten sposób „jedyny światowy trust”.

W okresie międzywojennym prezes General Electric, Owen D. Young, nie zapomniał o swych interesach niemieckich i był jednym z twórców planów Dawesa i Younga, planów, które sforsowały odrodzenie niemieckiego przemysłu i umożliwiły Hitlerowi przedstawienie przemysłu na tory wojenne. W tym samym okresie międzywojennym amerykański dom bankowy Dillon, Read & Co. w ciągu 4 lat 1924 — 28 przełożył do Niemiec „pożyczkę” na łączną sumę 200 milionów dolarów.

W obronie tych pożyczek, a dokładniej mówiąc — w obronie niemieckich firm, które z nich skorzystały, po wojnie wystąpili prezydent tegoż banku, ów amerykański minister spraw wojskowych, ów późniejszy wariat, James V. Forrestal oraz wiceprezes William H. Draper jr., który „dziwnym zbiegiem okoliczności” trafił na stanowisko kierownika gospodarczego amerykańskich władz okupacyjnych w Niemczech.

Przykłady tego rodzaju można mnożyć. Morganowski koncern International Telephone and Telegraph Corp. posiada wielkie pakiet akcji niemieckich zakładów przemysłowych, a prezes tego koncernu William Herod, został w 1951 r. „koordynatorem” produkcji przemysłowej Paktu Atlantycznego. Trudno o niego żądać, by odpowiednio nie „skoordynował” swych własnych interesów w Niemczech. Rockefellerowski Standard Oil ma decydujący wpływ w niemieckim przemyśle naftowym. Rodzina Du Pontów jest dla odmiany poprzez General Motors zainteresowana w znanej niemieckiej fabryce samochodów Opel Ltd., itd.

Wszystkie wymienione powyżej powiązania amerykańsko-niemieckie datują się z okresu przedwojennego. Koncerny amerykańskie brały żywy udział w zbrojeniu Hitlera i nie zawiesiły swych układów z trzema niemieckimi nawet podczas wojny. Ogłoszono np. szereg dowodów współpracy Standard Oil i największego hitlerowskiego koncernu I. G. Farben w czasie drugiej wojny światowej.

Lecz przejdźmy do czasów nowszych. Zaczniemy znów od spraw „rodzinnych”. Jakby symbolem dotychczasowej współpracy amerykańsko-niemieckiej jest powinowactwo Adenauera i Mc Cloya. „Kancelarz Konrad Adenauer jest bowiem szwagrem amerykańskiego Wysokiego Komisarza Johna Mc Cloya. Dajmy, że są oni spowinowaceni przez Johna Sharmana Zinsera, który z kolei jest jednym z dyrektorów domu bankowego J. P. Morgan & Co.

Władcy Ameryki postarali się przez Bohlenów, Mc Cloyów i Zinsera o to, by Trizonia stała się prostą kolonią Stanów Zjednoczonych. Strona polityczna tej próby ujarznienia kolonialnego znaczącej części Niemiec jest dostatecznie znana. Mniej znana jest strona finansowa tej operacji. Ciekawe dane na ten temat przynosi niedawno ogłoszona „Biała Księga” Frontu Ludowego Demokratycznych Niemiec.

Dowiadujemy się z niej, że w latach powojennych finansisci amerykańscy zainwestowali w zachodnich Niemczech z tytułu „pożyczek”, „pomocy” itd. okragłą sumę 15 miliardów marek. Dowiadujemy się, że w samym tylko przemyśle naftowym zainwestowali 172 miliony marek, że nie o wiele mniejsze były ich inwestycje w przemyśle elektrotechnicznym (znów AEG i General Electric, samochodowym itd. I dowiadujemy się, że pod opiekunkami skrzydłami bankierów z Wall Street rozkwitły tylko te gałęzie przemysłu zachodnio-niemieckiego, które mają znaczenie strategiczne.

A jeśli chodzi o ludzi, którzy ogrywają dziś decydującą rolę w zachodnich Niemczech, to „Biała Księga” wymienia — jak to było do przewidzenia — nie Adenauera i jego „ministrów”, lecz hitlerowskich przemysłowców i bankierów. „Najbogatszym człowiekiem zachodnich Niemiec” jest Robert Pferdmeng, finansista Hitlera, który teraz jest „persona grata” na Wall Street i w Watykanie, który zasiada w zarządach licznych koncernów Zagłębia Ruhry i który jest osobistym „prajacicielem” Adenauera. „Najpotężniejszą postacią niemieckiego kapitalizmu finansowego” jest bankier Hermann J. Abs, który za Hitlera był prezesem Deutsche Bank, a teraz stoi na czele „Banku Odbudowy”, rozprawiającego kredyty amerykańskie. Nie brak również spadkobierców Hugona Stinnesa, którzy za przykładem Charlesa Bohlena występują jako obywatele amerykańscy...

Wszyscy panowie wymienieni od początku artykułu zapominają tylko o jednym. Zapominają oni, że naród niemiecki składa się — prócz Kruppów, Bohlenów i ich kuzynów, — jeszcze z kilkadziesiąt milionów obywateli. A ci ujęli swój stosunek do okupantów amerykańskich w dwóch krótkich i lapidarnych formułach. Na propozycję odbudowy Wehrmachtu odpowiedział on: „Ohne uns” (bez nas), a na inne „flirty” amerykańskie mówił: „Amigo home!” (Amerykanie, jedźcie do domu).

Grzegorz Jaszuński

HENRYK HUBERT

PRZED BITWĄ

Czerwonym blaskiem knot się jarzy
w otworze łuski przypalaszczonej
i mroki chaty zadymionej
plomieniem stapia, syczy, gwarzy
i liże ściany, cienie rzuca,
a w piecu węgle żarem tłące,
cichutkim sykiem pękające,
żołnierskich suszą rząd onucy.

Na rozsypanych wiązkach słomy,
rzucanych na podłogę chaty,
śpią twardym snem zwiadowcy — chwaty.
Jak pod ojczystą strzechą domu,
jakby po dnia rzetelnym trudzie,
o duszach czystych, sercach hardych,
przed dnia nowego znojem twardym
w czas sianokosów spali ludzie.

I jakaś błogość serce stapia
w tę moją pierwszą noc frontową,
że wspólnie szczył mam pod głową
że wspólnie odczytana mapa.
Tak jak rycerskie pasowanie
otwiera mi żołnierską drogę,
że czapka z orłem tkwi nad progiem
obok tych z gwiazdą czap na ścianie.

Za ścianą chaty szum narasta,
nadchodzi — widać — pułk piechoty,
miętosząc białoruskie błoto,
lepiej jak świeże w dzieży ciasto.
Chłapiące końskich nóg klaskanie
i z chrzęstem ciągną zbrojne jaszczce,
by na pozycjach armat paszcze
stały, zanim świt nastanie.

Ten gwar żołnierski, taki swojski
wzruszeniem nowym gardło chwyta.
Pierwszego boju dzień zaświta
dla pułków 1-ej Kościuszkowskiej.
I jakoś mocno serce bije
ojczystych dzieł nową kartą,
że w brask poranka idzie warta,
że „nie zginęła”, że jest! Żyje!

Wtem przez otwarte drzwi chłód powiał,
zatańczył ognia cień na ścianie
i krótki raport, powitanie.
Cisną się chłopcy w światła ował.
Gwar głosów w szep — się zmienia, milknie,
by uszanować spokój śpiących,
stół, w kręgu lampy migającej
wnet pokrywa mapy, cyrkle.

Napięty „Wattman” na planszecie,
pocięty ików kratownicą,
nim zagadali w głos haubice

i zanim poszła wieść po świecie,
drgnął niczym ziemia od wybuchu,
gd, gryfel w topografa palcach
wyznaczał działom cele w walce
wprawnym i mądrym dłoni ruchem.

Czerwonym blaskiem knot się jarzy
w otworze łuski przypalaszczonej
i mroki chaty zadymionej
plomieniem stapia, sycząc gwarzy
i cienie rzuca, ściany liże,
sen z zaognionych spędza powiek:
by wolnym był w ojczyźnie człowiek.
basem przemówią jutro spiże.

Za ogniowego wału ścianą
ruszą do szturm bataliony
i czołgi pójda zapyłone
stalową brylą, jak taranem.
Biegłem w dolinę. Już przeprawa.
W bród przez Mierei dno bagniste,
do wzgórz metrów pięćset... trzysta...
i ogniem wesprze „sąsidi z prawa”.

Dziś topografów trud skończony,
już cień zrużenia okrył twarze,
już knot się jakoś bladej jarzy,
czekają sztaby w dywizjonach.
Radosny błysk żołnierskich źrenic
to znak, że rozkaz wypełniony.
Czas na spoczynek zasłużony,
nim ranek pocnie się rumienić.

Jak dobrze jest przez chwilę poczuć,
że w tym, co nowy dzień obwieści,
i nasz niewielki wkład się mieści,
by mógł się bój zwycięsko toczyć
Wnet do baterii ruszą gońcy,
dowódcy chciwie chwycr dane,
zadanie będzie wykonane,
gdy świt rozwieje mroki nocy.

Czerwonym blaskiem knot się jarzy
w otworze łuski przypalaszczonej
i mroki chaty zadymionej
plomieniem stapia, mruczy, gwarzy.
Na rozsypanych wiązkach słomy
bratersko głowy śpiących wsparte —
głowa „starszyny” i sierżanta,
wspólnego losu znak widomy.
Księżyc gdzieś za chmurami zginął.
Przed snem marlowi haust ostatni.
Na białoruskiej ziemi bratniej
luna błękała nad Lenino.

TADEUSZ BREZA

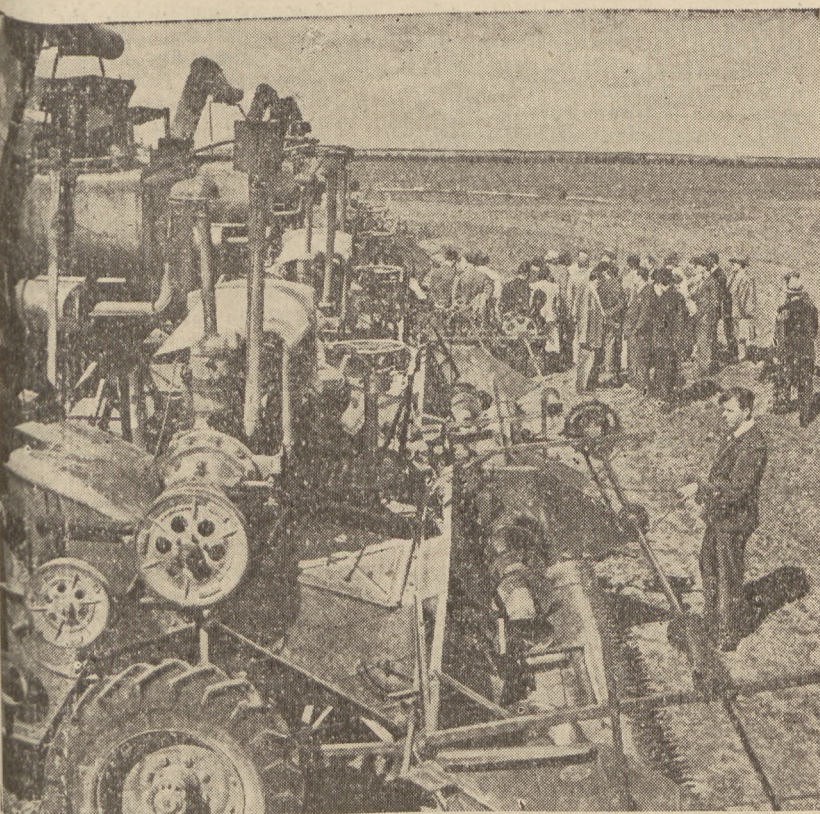
Moskwa — Rostów nad Donem — Leningrad

Przed paru dniami powróciła do Warszawy dwudziestodwuosobowa wycieczka Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Przebywała ona na terenie Związku Radzieckiego przez trzy tygodnie. W jej skład wchodził działacz stołeczny i terenowy Towarzystwa oraz grupa uczniów i artystów, niejednokrotnie również wybitnych aktywistów TPPR-u. Na czele wycieczki stał minister Szkół Wyższych i Nauki, Adam Rapacki. Wycieczka była gościem WOKS-u, Wszechnicykulturalnej z Zagranicą. Organizacji tej wycieczka zawdzięcza, że w stosunkowo krótkim czasie mogła zebrać tak obfity materiał i tyle zobaczyć. Zwiedzając Moskwę i Rostów nad Donem, przepędzić jeden dzień w pięknym i bogatym sowchozie imieniem „Gigant” i w równie wspaniałym kołchozie imienia Stalina, sowchozie i kołchozie wyrosłym na obszarach Salskich stepów, gdzie przez wieki nie było ani do października rewolucji, ani pasły się jedynie konie; a z kolei, nad morza Azowskiego przenieść się na Bałtyk, bez mała o dwa tysiące kilometrów na północ, do Leningradu. To zaś są przecież jedynie wzmasy. Wypełniają je poranki w fabrykach i zakładach, w muzeach i na wystawach, w bibliotekach i instytucjach naukowych; popołudnia upływające na licznych spotkaniach polskich uczonych z uczonymi radzieckimi, na mnóstwie kontaktów i rozmów artystów z artystami, aktywistów organizacyjnych z aktywistami organizacyjnymi; wieczory wreszcie poświęcone domom kultury, parkom wypoczynku, domom pionierów, a przede wszystkim teatrów.

Program imponujący! Trud organizacyjny znaczny! Tyleż zobowiązań, co zdumiewający. Podziwiałem wielką umiejętność naszych gospodarzy, z jaką realizowali ten rozległy i skomplikowany program i to w ten sposób, abyśmy mogli z niego odnieść pełną i rzeczywistą korzyść, rozporządzając zatem naszymi siłami duchowymi i fizycznymi z serdeczną i wnikliwą o nie troską. Odnajdując stale szczęśliwy złoty środek pomiędzy naszą wytrzymałością a naszym pragnieniem, by zobaczyć, by ogarnąć, by poznać jak najwięcej. Naszym pragnieniem nie raz od wielu lat narastającym, pragnieniem i porywem, by podczas podobnego pobytu jak najwzajemniej pogłębić naszą wiedzę o Związku Radzieckim i wiele się podczas takiego pobytu nauczyć.

A wciąż było się czego uczyć. A wciąż przybywało faktów, przesłanek, obrazów. Rzeczy, myśli i słów wartych zapamiętania. Pierwszego dnia skierowaliśmy się do Centralnego Muzeum poświęconego osobie i działalności Lenina. Następnego dnia odwiedziliśmy Wystawę podarunków ofiarowanych z okazji ukończenia 70 lat Generalissimowi Stalinowi. Później przeszliśmy do słynnej moskiewskiej kolekcji malarstwa rosyjskiego. Wszędzie tłumno! W Moskwie czy Leningradzie, w Galerii Tretjakowskiej czy w Ermitażu, przed Repinem czy przed Rembrandtem. W salach z głośniejszymi zbiorami czy też w salach małych wystaw. Chcieliśmy się zapoznać z osiągnięciami najmłodszego malarstwa radzieckiego. Udał się nam w kilku obejrzeć prace tegorocznych dyplomantów, zebrane z całego kraju i wystawione w pomieszczeniach moskiewskiej Akademii Malarstwa im. Surikowa. I tu pełno.

Przeglądaliśmy się zgromadzoną pracą z najwyższym zainteresowaniem i satysfakcją, uderza nas w tych pracach przede wszystkim to, że oto malarstwo radzieckie wykonało świeżo ogromny skok naprzód w jakość, jak również i to, że młodzi zdają się kunsztem wyrażać przerastające starze pokolenie, a więc pokolenie swoich nauczycieli, którzy dzięki temu, że trafnie od strony ideologicznej rozumieli sprawę, potrafili dać swoim uczniom więcej, niż sami posiadali.



Cibrymie siewniki zasiewają pola sowchozu „Gigant” na stepach Sal-
skich.

Komentujemy ten fakt, ale już po chwili nie jesteśmy sami. Ktoś słysząc, z jakim ożywieniem rozmawiamy, przybliża się do nas. Przecho-
dzimy na język rosyjski. Odpowiadamy na zapytania dotyczące malarstwa. Nasz nowy uczestnik rozmowy jest robotnikiem, który od czasu do czasu zagląda na wystawę. Mieszka blisko. Jest ciekaw naszych spostrzeżeń i przekazuje nam własne. Jest to widzący. Jest to odbiorca kultury aktywnej. Taki jest bowiem z zasady odbiorca kultury w Związku Radzieckim. W muzeach czy na wystawach chętnie przyłącza się do grupy, która ma przewodnika. Słucha i stawia pytania. Chce nie tylko widzieć, ale i wiedzieć.

A w domach kultury, w domach pionierów, w klubach fabrycznych nie tylko widzieć i wiedzieć, ale również — i to w skali zjawiska masowego — próbować swoich sił. Jeden — artystycznych, inny — organizacyjnych. W Związku Radzieckim aktywistów nigdy żadnym placówkom nie brak. I to aktywistów z prawdziwego zdarzenia, na których placówka zawsze może liczyć. Leningradzki Dom Kultury Związku Metalowców ma chór, znakomity amatorski teatr, orkiestrę. Prowadzi najprzeróżniejsze prace w całym mnóstwie zespółów i dziesiątki stałych kursów. Wszystko to w znacznej mierze zawdzięczając swemu nieomal tysiąc-
osobowemu aktywowi, bez którego kilkunastu ludzi stanowiących sztab, niczego by nie zdziałało.

W tego rodzaju zjawiskach uderza nie tylko pęd do kultury, aktywnej, preżny pęd, ale wysoki poziom uświadomienia człowieka radzieckiego. Ta jego cecha dochodzi do głosu i w jego odczuciach, i w jego czynach. W Rostowie nad Donem, szczególnie dotkniętym w latach wojny, ofiarne ręce mieszkańców przywróciły ulicom i ogrodom miasta całą wytrze-
bioną przez hitlerowców zieleni. W

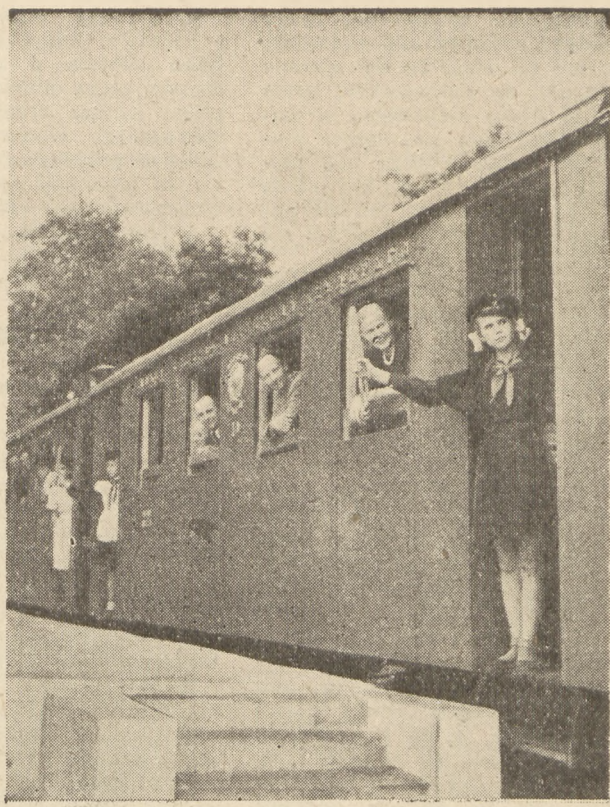
nowej, mieszkalnej dzielnicy Leningradu wielki, piękny park powstał, by się tak wyrazić, w godzinach wolnych od zajęć. Podobnie tameczny stadion-olbrzym, stadion na sto dwadzieścia tysięcy ludzi, równie pięknie architektonicznie rozwiązany, jak cudownie położony nad samym morzem, nieskończenie wiele zawdzięcza leningradzkiemu człowiekowi, który przez wiele miesięcy zawsze znajdował czas, by sprawę stadionu naprzód posuwać i posuwać. Tę wspólną sprawę wszystkich mieszkańców miasta.

Lecz nie na granicach własnego miasta kończy się myślenie społeczne człowieka radzieckiego. Kategorie tego myślenia są nieporównanie szersze. Kiedy przodownia pracy w Noginsk, w wielkich zakładach włókienniczych powiada nam, że przekraczając normę cieszy się, bo — jak mówi — „Zawsze przez to trochę więcej przybędzie w kraju odzieży” — pojmujemy to. Pojmujemy to również, kiedy jeden z rozmówców radzieckich opowiada nam o ekipach robotników rolnych, zajętych przy gigantycznym planie zalesienia olbrzymich przestrzeni w dorzeczu dolnej Wołgi. Przyszłe lasy stawać będą czoło niszczącemu, zgnubnym dla zbóż suchowiojom. Setki kilometrów dzieli tereny, gdzie pracują ekipy, od terenów, dla których ta praca jest zbawczą. A właśnie tamtych, dalekich terenami ekipy robotników interesują się szczególnie. Film dokumentarny czy naukowy, artykuł w piśmie czy pogadanka na temat tych dalekich terenów zawsze cieszyła się wśród ekip robotniczych najwyższym powodzeniem. Instynkt społeczny i najwyższy poziom świadomości — oto co cechuje radzieckiego człowieka pracy.

Pobyt nasz w Związku Radzieckim przypadł na czas, kiedy na całej przestrzeni tego kraju rozpoczęła się



Wycieczka przed gmachem Teatru Wielkiego
w Moskwie.



Dziedinna kolej w parku w Rostowie nad Donem.
Pasażerami kolejki są uczestnicy wycieczki.

akcja zbierania podpisów pod Apeli Światowej Rady Pokoju o pakt pokoju pomiędzy pięcioma wielkimi mocarstwami świata. Pokój w Związku Radzieckim to wielkie słowo. Tak wielkie, jak może być wielkie dla artysty, który czuje, że właśnie tworzy wielkie dzieło, albo dla uczonoego, który wie, że jest na drodze do epokowego odkrycia. Wojna zahamuje mu pracę, wojna go cofnie. Każdy człowiek radziecki ma własne ten, że tworzy coś decydującego i wielkiego. Składa się na to i ów marsz do nowych zdobyczy kulturalnych, indywidualnych i maso-

wych, o których mówiłem wyżej. Składa się na to i marsz ku takim przełomowym zwycięstwom nad ślepyimi siłami przyrody, jak choćby ów marsz ku gigantycznemu planom hydrotechnicznym, które w ostatecznym rezultacie rzucą traktorom pod lemieście obszar ziemi dwudziestokrotnie większy niż obszar uprawnej ziemi w całej Polsce. Żadna wojna żadnemu narodowi ani w przeszłości, ani w przyszłości nie przyniosła i nie przyniesie w zysku tyle ziemi, ile jej przyniesie Związkowi Radzieckiemu pokój. A przecież w Związku Radzieckim toczy się bitwa nie tylko o ilość ziemi, ale o jakość

uprawy. I nie tylko o pola, ale i o domy. I nie tylko o olbrzymie, porównujące budowle, jak przyszły zdumiewający gmach Uniwersytetu Moskiewskiego na Wzgórzach Leninowskich, ale i o miliony zwykłych szkół, zwykłych domów i zwykłych budynków. I nie tylko o nowe domy, fabryki, elektrownie, teatry, muzea, sanatoria, domy wypoczynkowe, ale i o nowe życie. Nowe życie, które tworzy się dziś na jednej trzeciej globu ziemskiego, w którego budowie przewodni nasz towarzyszy i nasz brat starszy w tej budowie, człowiek radziecki.

Tadeusz Breza

DESZCZ

(Rozdział z przygotowywanej do druku książki o wycieczce chłopów polskich do Związku Radzieckiego).

W kołchozie im. Szew-
cenki (rejon Wład-
jewski) pokłóciło się
ze sobą siedem pol-
skich wojowników.
Ścisłe mówiąc, spie-
rali się tylko reprezentanci woje-
wództw, ale tak zażarcie, jakby za
ich plecami cała ludność wrocław-
skiego, pomorskiego czy lubelskie-
go zachęcała ich do nieustępliwo-
ści. Widocznie przedmiot sporu wart
był tej zacieklej walki. Zwyciężyło
polskie. Mieli szczęście delegacji
z kraju nad Wartą. Mieli szczęście,
że na nich właśnie wypadła tym
razem kolej odpowiadania na powi-
tania kołchoźników. Do nich pier-
wszych skierowane zostały słowa
cieple i mocne: „Braterskie pozdro-
wienie dla narodu polskiego, który
buduje socjalizm”. W ich dłonie
złożono kołacz i piękny podarunek.
Był to portret Stalina oprawiony
w szeroką ramę z różnokolorowych
kwiatów. Ramę wykonał kołcho-
źnik przesiadany układając bibułki
w ludowe motywy.

Wszyscy zadrożeli poznaniem,
że nie dał sobie już potem odebrać
praw do obrazu. Nie wypuścili go
po prostu z rąk. I ostrożnie umie-
szczony w oknie wagonu pojechał
z Jurówki aż pod Poznań portret
wielkiego nauczyciela, który nau-
czył chłopów rosyjskich, jak zbu-
dować socjalizm, a chłopom polskim
pomaga do socjalizmu znaleźć drogę.

W kołchozie im. Szewcenki wie-
le rzeczy spodobało się delegatom



Fot. K. Jarochowski
Władysław Senderek przy zwiedza-
niu kołchozów najbardziej interesow-
wał się hodowlą.

polskim, a do ich zeszytów przyby-
ło notatek.

Murarz Wojtyła ze spółdzielni
produkcyjnej im. Marsz. Rokossov-
skiego zwrócił przede wszystkim
uwagę na piękny Dom Kultury, zu-
pełnie nowy. Można by powiedzieć
„jak z igły”, gdyby mury wznosiły
się tak szybko, jak przedkmo można
uszyć ubranie. Zapewne kierownik
ekipy budowlanej myślał o świetli-
cy, którą postawi w swojej spół-
dzielni, gdy szkicował w notesie
rzut poziomy i plan budynku klubu.
Tego, co było najbardziej sensa-
cyjne w historii budynku, nie musiał
zapisać. Zapamiętał dobrze i do
dziś niewątpliwie opowiada w
powiecie grodzkowskim. Bo Dom
Kultury, jeszcze pachnący ostrą
wonią tynku, jeszcze lśniący zło-
cistym polskim nowym belek, ma
już swoje dzieje. Kiedy zaczęto go
budować, w koło widać było tylko
kominy domów mieszkalnych osmo-
lone dymem na czarno, tylko szczer-
ki ścian zabudowań gospodarczych,
koronkowe od uderzeń hitlerow-
skich pocisków. Stanał wśród ruin
jako pierwszy odbudowany w koł-
chozie dom. Tak uchwalił gospodar-
ze kolektyw. Uznali, że wcześniej
niż solidne dachy nad głową chcą
mieć miejsce do zebrań, gdzie decy-
dować będą o swoim życiu, chcą
mieć ośrodek kształcenia się, roz-
rywek, zabaw i wyciszenia, tak
bardzo potrzebnych po ciężkiej pra-
cy.

W czerwcu 1950 r. Władysław
Wojtyła razem z resztą delegatów
na miejscu ruin w pobliżu klubu
widział już ładne domy dla ludzi,
na miejscu zgłiszcz porządne bu-
dynki dla inwentarza.
Kończono właśnie urządzenie ow-
czarni na 200 sztuk, budowano kur-
nik. W nowym myślnie terkotały
dwa elektryczne motory. Nowy ra-
diowęzeł opłatał siecią całą wieś.
Rocznica Rewolucji Październi-
kowej miała być uczczona w koł-

chozie jasnym blaskiem. Miała być
i na pewno była, bo tak przecież
postanowili kołchoźnicy, postano-
wieni swych dotrzymujący. Niewąt-
pliwie w dniu radosnego święta
narodów radzieckich i wszystkich
ludzi postępowych kuli ziemskiej
w kołchozie im. Szewcenki elektrycz-
ne światło dotarło znowu, tak jak
przedtem, do najodleglejszej nawet
chaty.

A do końca roku zmechanizowa-
no wszystkie fermi hodowlane.

Ferm jest pięć. Wypytywał o nie
dokładnie Władysław Senderek ze
spółdzielni produkcyjnej „Przełom”
w Wielkiej Wsi pod Krakowem.
Wypytywał, ponieważ dowiedział
się, że po Wyzwoleniu zostało w
kołchozie zaledwie kilka pokaleczo-
nych koni, osiem krów i parę kur.
Krowy niewiele dawały mleka. Za-
miast spokojnie przeżuwać na łą-
kach soczystą trawę, wprzęgnięte
między dysze ciągnęły wozy, bro-
nowały pola. Tę niezbyt raczą się
pociągawą poganiały kobiety. One
do końca, zostały w kołchozie i pier-
wsze rzuciły się przywracać ziem-
iżność. Mężowie nie nadciągnęli
jeszcze z odległego frontu zwycię-
stwa.

Hitlerowscy napastnicy zagrabili
90 koni, zamarowali 96 sztuk byd-
ła, zarżnięli 76 świń, 60 owiec, 700
szuk drobiu.

W czerwcu 1950 r. Władysław
Senderek razem z resztą delegatów
mógł już podziwiać w stajniach i o-
borach kołchozu 85 koni, 201 sztuk
bydła rogatego, 159 świń, 206 owiec,
1738 sztuk drobiu. Plan hodowli
wypełnili kołchoźnicy w 120 pro-
centach.

Stanisława Wolska ze spółdzielni
produkcyjnej im. Armii Ludowej
pod Olkuszem ciekawa była, jak na
wsi Jurówka powstał kołchoz. U-
słyszała, że przed Rewolucją tutej-
skie chłopskie pola należały do ob-
szarnika pochodzenia niemieckiego.
Rozparcelowane w roku 1923 nie
starczyły dla wszystkich. Małorol-
ni razem z bezrolnymi i średniakami
założyli w roku 1930 kołchoz.
Zagospodarowali się na 570 ha i to
tak dobrze, że już po dwóch latach
wyplacali sobie za dniówkę 10 kg
ziarna.

Powodzenie dodało energii sa-
mym kołchoźnikom, a wątpliwości
narzekających przecięło ostrzem lo-
giki. Przystąpili do wspólnoty.

Jakos znajomy wydał się przed-
stawicielom chłopów polskich prze-
wodniczący kołchozu, wtedy gdy
opowiadał im, jak to dawniej dzia-
ło się ludziom we wsi Jurówka.
Jego twarz podobna była do wielu
spośród ich twarzy, szeroka, bru-
natna, z pływającym wąsem nad gór-
ną wargą, z podwójną bruzdą mię-
dzy brwiami i podgolonym kar-
kiem. I nazwisko też nie obce, jak-
by polskie: Czezelnicki.

Ale najbardziej swojskie, najbar-
dziej bliskie wydały się członkom
polskich spółdzielni wspomnienia
przewodniczącego. Jednak to, co Ro-
sjanin wyłamywał już tylko z pa-
mąci, w ich myślach było żywe,
było terazniejsze. Przecież i oni

przez pokolenia całe pracowali na
ziemi cudzej, obszarzniczej. Przecież
i im, gdy nareszcie tę ziemię mię-
dzy siebie podzieliłi, było ciężko w
trudzie każdej rodziny pracującej
osobno, w pożądaniu ziemi, której
dla wielu brakło. I oni zdecydowa-
li swoje wysiłki połączyć. I oni
osiągają już lepsze w planach re-
zultaty. Teraz od nich samych za-
leży, czy podobna do kołchozu im.
Szewcenki miniona zła dole potrafi
przemienić w równie dobrą rze-
czywistość.

Dowiadują się więc jeszcze o wie-
le spraw.

Jan Sendek — o organizację pra-
cy, bo ilość hektarów należących do
kołchozu jest niewiele wyższa od
gospodarstwa spółdzielni im. M.
Nowotki w Wilczkowie.

Kazimierz Michalski ze spółdziel-
ni „Przyszłość” — o wysokość za-
liczek wypłacanych przed dorocz-
nym podziałem dochodu.

Władysław Senderek — o opie-
kę weterynaryjną w kołchozie.

Roch Bednarek z Łukaszewa pod
Krośninem — o wynagrodzenie
kiesiowego.

Wkrótce wiedzą już:

Ze księgowy może nie być człon-
kiem kołchozu. Wysokość jego pen-
sji ustala zebranie ogólne pracow-
ników kolektywu. Przeciwnie otrzy-
muje 80 proc. pensji przewodniczą-
cego i 250 rubli rocznego dodatku.
Ze w każdym kołchozie felczer
weterynaryjny czuwa nad zdrowiem
bydła. Niezależnie od niego rejon-
owi weterynarze stale odwiedzają
kołchozy.

Ze — nim zostanie przeprowadzo-
ny podział dochodów — wypłaca
się pracownikom zaliczki w wyso-
kości do 15 proc. zarobionej sumy.

Ze w kołchozie im. Szewcenki
pracują dwie brygady: polowa i

hodowlana oraz ogniwo ogrodowe.
Hodowlana zatrudnia 30 ludzi. Po-
lowa — 85 osób i dzieli się na
sześć ogniw. Mechaniczna obróbka
ziemi zajmuje się brygadą traktoro-
rowa MTS. Ma stały skład osobo-
wy. Traktorysty znają więc dobrze
każde pole, płodozmian, działki o-
gniwi.



Fot. K. Jarochowski
Ignacy Marek, gospodarz indywidu-
alny, zwiedzając kołchozy na Ukrai-
nie, najbardziej interesował się
kwestią mechanizacji rolnictwa.

Tak oto niejednej ciekawej rze-
czy nauczyli się przedstawiciele
chłopów w kołchozie im. Szewcen-
ki. Rozmaite porobili spostrzeżenia,
dużo wrażeń utrwalili na papierze
ich ołówki, co chwila w pośpiechu
strugane.

A jednak, ilekroć potem mówiło
się o tym kołchozie, pierwsza fala
wspomnień przynosiła od razu nie
Dom Kultury wśród ruin, nie pol-
ską twarz przewodniczącego, ani na-
wet nie portret ubrany w piękny
kwiatami. Ilekroć rozmowa objęła
kołchoz im. Szewcenki, zaraz każ-
dy bez wyjątku delegat wyjaśniał
orientacyjnie: — „To tam, gdzie
padał deszcz...”

Więc deszcz, najwzajemniejszy
deszcz wywarł na chłopach pol-
skich tak głębokie wrażenie, stał się
czymś niezapomnianym.

Przyjechali z kraju, gdzie raczej
narzeka się na nadmiar opadów.
Każdy z nich znał dobrze ten nę-
pokój gorączkowego pośpiechu, kie-
dy na gwałt popędzają konie zwo-
zi się siano, aby umknąć przed nad-
ciągającymi chmurami.

Każdego z nich gnioła nie jeden
raz troska, nieraz rozpięta głucha
gniew bezsilności, gdy zboże w
mendlach na polu pozostawało pod
strugami długotrwałej słoty.

Deszcz dla naszego chłopca rzad-
ko jest gościem pożądanym; czę-
ściej go się przeklina.

Ale wysłarczyło zaledwie kilka-
naście dni przyjaźni z ukraińskimi
kołchoźnikami, aby gospodarze pol-
scy zaczęli mówić o deszczu z u-
tęsknieniem i studiować freski na
niebo, zupełnie tak samo jak
tutejsi.

Na nic się zdała cała z Pol-
ski przywieziona chłopska mądrość



Fot. K. Jarochowski
Stanisława Wolska, wdowa, matka
czworga dzieci, pierwsza przy-
stąpiła do spółdzielni.

TADEUSZ DREWNOWSKI

UWAGA! NOWY CZŁOWIEK

Z niecodziennym zaskakaniem witalnym poszczególnie utwory Józefa Kuśmiera drukowane na łamach „Twórczości” i „Nowej Kultury” w okresie ostatniego roku. Obecnie mamy je przed sobą zebrane w tomie pt. „Uwaga! człowiek!” Co oznacza ten frający tytuł — wytyczną w reporterskich poszukiwaniach pisarza, drogowskaz czy przestrożę? — na to będziemy mogli dać udokumentowaną odpowiedź dopiero po dokonaniu analizy.

„Nasz zawód — pisze w związku ze „Sprawą jednego konia” Kuśmiera — pozwala nam stykać się z różnymi przejawami walki klasowej, ale z takim kryminalnym przypadkiem spotkałem się po raz pierwszy”. Do takich wypadków kryminalnych należy w gruncie rzeczy nie tylko „Sprawa jednego konia”. Również pozostałe sprawy z dwu innych opowiadań tego tomu trafiły lub trafią na stoł prokuratorski. Do skory brata Kocika dobiegł się zapewne również służba bezpieczeństwa, gdy jego rozległe interesy handlowe wędrowały w jawną sprzeczność z kodeksem. Kuśmiera wybiera pewne wypadki krańcowe, żeby w najostrejszych przeciwnościach pokazać sytuację wsi polskiej lat 1946 — 1948, lat — określmy je słowami powiatowego sekretarza partii z Krzepci — „odwrotu przed kapitalizmem na wsi”. Bogacz wiejski rzuca się na najbardziej łakome kąski, na najpewniejszą zdobycz. W tych warunkach rodzi się tragedia Adachowej i jej syna, zepchniętych na dno nędzy i zezwierzęcenia, tragedia rodziny Zawadowskich, którą przypieczętuje śmierć Eli. Nie jest przypadkiem, że fabuła „Adachowej biedy” całkowicie, pozostałych zaś opowiadań częściowo umiejscowione są na ziemiach odzyskanych. Tam, na terenach na nowo zagospodarowywanych w trudnych okolicznościach lat powojennych kapitalistyczne sposoby spekulacji, korupcji i wyzysku przybierały najdramatyczniejsze formy. Jesteśmy w świecie zupełnie biologicznej walki o byt: i dla Adachów, i dla Zawadowskich opisane wypadki są sprawą walki na śmierć i życie. Znajdujemy się wśród praw kapitalistycznej dzungli, gdzie rządzi prawo silniejszego i sprytniejszego. Utrzymać się na powierzchni życia, zatrzymać się przed otchłanią komorniczej vegetacji — jest sprawą naj-

istotniejszą. Kuśmiera rzeczywistość celuje w odwzajemienie tego żywiołowego rozrządzenia się kapitalizmem na wsi, gdzie „drobna produkcja rodzi kapitalizm i burżuazję stałe, co dzień, co godzinę, żywiołowo i w skali masowej” (Lenin). Odrzucie z wszelkich obstrukcyjnych wyzysku na wsi o kapitalistycznej jeszcze strukturze, obnażenie mechanizmu krzywdy w działaniu, wyjawienie źródeł rosnących fortun kufackich, wysysających ostatnie soki z biedniackich gospodarstw — udaje się Kuśmierkowi znacznie lepiej, niż któremukolwiek z naszych prozaików.

Wyszłedzone przez „prywatnego detektywa” (jak Kuśmiera lubi określać swoją rolę) afery ukazują te prawa — na stosunkowo niewielkim materiale — w mistrzowskich skrótach, w najbardziej zasadniczych rzutach. Przekroje ekonomiczne wsi dawniejszej i dzisiejszej, zyciorysy ludzi, historia ich wiejskiego bytowania — mają pełny walor społecznej reprezentatywności, skrócone są przy pomocy linii najistotniejszych, mocno sytuują człowieka w ekonomicznym i społecznym uwarunkowaniu. Dalekie perspektywiczne spojrzenia wstecz, w przeszłość, nadają właściwą dynamikę wydarzeniom dzisiejszym, tym, które się dzieją już przed naszymi oczami. Siwetki kufaków i biedniaków są ostro narysowane, prezentują nam wiejskich ludzi tych opowieści nie tylko w czasie teraźniejszości, ale i w czasie przeszłym, zaobserwowane są w ruchu, w rozwoju. Metodą najciekawszą przez Kuśmiera używaną przy prezentacji ludzi jest skrótna biografia. Zobaczymy, jak powstała fortuna, a co idzie w ślad za tym — świadomość społeczna potentatów wiejskich — Koronów.

„Granica dzieląca Polskę na Reich i „General Gouvernement” przebiegała trzy kilometry od Miedzna. Krzepcie wraz z młynem parowym zostały w Reichu, Miedźno z młynem Koronów w GG... Każdy rok wojny przynosił wielkie zmiany w życiu Koronów. Już w 39 roku Władysław Koronow zmienił stare drewniane koło na turbinę wodną, a upust wybetonował. W następnym roku zburzył stary młyn, a wystawił murowany. Sprowadził 4 pary walców, a że „grenszucze” nie chcieli siedzieć przy lampach naftowych, i doprowadził sobie linie elektryczną. Koronow mógł do napędu części maszyn używać prądu. „Koronow nie przemienił już zboża chłopotem. Jego młyn nie był już „chłopski”, lecz „handlowy”. Jeżeli przyjmował zboże

do mielenia — to tylko od Niemców z tamtej strony...”

A rezultat przedsiębiorczości Koronów, ich „międzynarodowego handlu”? „Gdy wojna skończyła się, Koronowie są już właścicielami kilku domów i piaców w Krzepicach, paru kamienic w Częstochowie, a nawet w odległym Kaliszu”.

Trzeba nie mieć znajomości wsi, nie mieć przenikliwości obserwacji, żeby w wiekim skrócie, nie rezygnując z konkretności, ukazać stopnie, po których Koronowie zmierzają do pozycji, jaką zajmować będą we wsi. „Koronow uchodził za niezwykłego” — i ten prestiż bogacza wiejskiego, który pozwolił mu na jawne gwałcenie prawa — na kradzież konia Zawadowskich, ma pełne uzasadnienie w nakreślonej przez pisarza jego sytuacji we wsi. Konkretności i historyczność schematów losu ludzkiego jest tylko jedną z bezspornych zalet prozy Kuśmiera, dalsze jej właściwości dadzą się sprzeczyć w związku z pytaniem: czy to reportaże?

Sporo nieporozumień między krytyką a pisarzami powstaje u nas na tym tle, że krytyka traktuje często utwory literackie poza ich założeńiami, po linii własnych postulatów i żądań, które nie zawsze pokrywają się z praktyką pisarską. Argumentacja nie trafia wówczas w sedno problematyki, krąży po peryferiach najistotniejszych zagadnień lub uderza w próżnię. Kryteria są zbyt kuse albo — co zdarza się częściej — zbyt wygórowane. Postulat respektowania zamiaru pisarskiego nie jest oczywiście równoznaczny ze zgodą na te założenia. O podobne nieporozumienia łatwo również przy prozie Kuśmiera.

Zakwalifikowanie pierwszych dwu szkiców z „Uwaga! człowiek!” jako reportaży zdaje się nie ulęgać wątpliwości. Popiera je wielokrotnie sam autor, utrzymujący w nich wciąż konwencję reportażysty, który wpadając na trop jaskrawych nadyż — wszczęta śledztwo, dochodzi „od łyczka do rzymy”. „Historie Adachowej — stwierdza Kuśmiera — wysypałem z labiryntu opowiadań przeważnie sprzecznych z sobą”. Na ślad afery kufackiej natrafia nasz reportażysta w podsłuchanej w podziemiu rozmowie miszkanek Krzepci. Zresztą historię wykrytych spraw zapisuje Kuśmiera w tym porządku, jak je wykrywa i rozspłutek, bez jakiegokolwiek umyślnego przekształcania literackiego. Utrzymują one czytelnika w niesłabnącym napięciu, wciągają w fascynujący proces śledztwa. Zbliża to reportaże Kuśmiera do literatury sensacyjnej w najszlachetniejszym sensie tego określenia. Mamy satysfakcję towarzyszenia przy dobrej robocie prokuratorskiej, bo przed okiem pisarza nie ujdzie niepostrzeżenie żadne ogniwo sprawy. Tęcza prokuratora jest tak zapętrzona, że wynik późniejszego procesu nie nasuwa żadnych wątpliwości. Ale nie ufajmy Kuśmierkowi na słowo: czy rzeczywistość jego szkice nie wykracza poza te minimalistyczne założenia zapisania pewnych wiejskich afer. Przyjmowane konwencje czasami nie przeszkadzają, a zaciemniają zakwalifikowanie rodzajowe utworu. Po-
en-
cjalnie reportaże Kuśmiera przekraczają granice gatunku, wychodzą w kierunku rodzajów wyżej zorganizowanych literacko. Nie są to różnice scholastyczne, choć rozgraniczenia gatunków nie dają się przeprowadzić ani ściśle, ani sztywno. W zbiorze Kuśmiera obserwujemy wyraźne ciążenie ku opowiadaniu, noweli, obserwujemy jakieś aspiracje nie mieszczące się w faktografię reportażu. Flarzen na marginesie „Początku opowieści” Mariana Brandysa trafnie spostrzegł, że reportaże wyprowadza ludzi raczej pod kąt z ilustrowania pewnego określonego problemu (bez samostannego zainteresowania nim), że w reportażu wystarcza schemat człowieka, jego szkice socjologiczne (nie obróśnięty tkanką odrębnej indywidualności). Otóż — tak rzeczy nie mają się w utworach Kuśmiera. Typowe na pierwszy rzut oka reportaże — to właściwie ekstrakty nowel, kondensacje bogatych, lecz nierozwiniętych w pełni wątków fabularnych. Dla nich zasadniczym obiektem są losy ludzkie, których indywidualność jeśli nie jest całkowicie zrealizowana, to w każdym razie dość wyrażała, żeby czytelnik potrafił ich zidentyfikować, rozróżnić, zapamiętać. Weźmy pod obserwację jedną z ubocznych postaci, świadka w sprawie Stanisława Adacha. Klimatyzacja Wrzoska, dawniej — jak Adachowie — biedniaka kieleckiego, w zasobnym gospodarstwie, sytuacja rodzinna, na tle której stają się zrozu-



Józef Kuśmiera

do mielenia — to tylko od Niemców z tamtej strony...”

A rezultat przedsiębiorczości Koronów, ich „międzynarodowego handlu”? „Gdy wojna skończyła się, Koronowie są już właścicielami kilku domów i piaców w Krzepicach, paru kamienic w Częstochowie, a nawet w odległym Kaliszu”.

Trzeba nie mieć znajomości wsi, nie mieć przenikliwości obserwacji, żeby w wiekim skrócie, nie rezygnując z konkretności, ukazać stopnie, po których Koronowie zmierzają do pozycji, jaką zajmować będą we wsi. „Koronow uchodził za niezwykłego” — i ten prestiż bogacza wiejskiego, który pozwolił mu na jawne gwałcenie prawa — na kradzież konia Zawadowskich, ma pełne uzasadnienie w nakreślonej przez pisarza jego sytuacji we wsi. Konkretności i historyczność schematów losu ludzkiego jest tylko jedną z bezspornych zalet prozy Kuśmiera, dalsze jej właściwości dadzą się sprzeczyć w związku z pytaniem: czy to reportaże?

Sporo nieporozumień między krytyką a pisarzami powstaje u nas na tym tle, że krytyka traktuje często utwory literackie poza ich założeńiami, po linii własnych postulatów i żądań, które nie zawsze pokrywają się z praktyką pisarską. Argumentacja nie trafia wówczas w sedno problematyki, krąży po peryferiach najistotniejszych zagadnień lub uderza w próżnię. Kryteria są zbyt kuse albo — co zdarza się częściej — zbyt wygórowane. Postulat respektowania zamiaru pisarskiego nie jest oczywiście równoznaczny ze zgodą na te założenia. O podobne nieporozumienia łatwo również przy prozie Kuśmiera.

Zakwalifikowanie pierwszych dwu szkiców z „Uwaga! człowiek!” jako reportaży zdaje się nie ulęgać wątpliwości. Popiera je wielokrotnie sam autor, utrzymujący w nich wciąż konwencję reportażysty, który wpadając na trop jaskrawych nadyż — wszczęta śledztwo, dochodzi „od łyczka do rzymy”. „Historie Adachowej — stwierdza Kuśmiera — wysypałem z labiryntu opowiadań przeważnie sprzecznych z sobą”. Na ślad afery kufackiej natrafia nasz reportażysta w podsłuchanej w podziemiu rozmowie miszkanek Krzepci. Zresztą historię wykrytych spraw zapisuje Kuśmiera w tym porządku, jak je wykrywa i rozspłutek, bez jakiegokolwiek umyślnego przekształcania literackiego. Utrzymują one czytelnika w niesłabnącym napięciu, wciągają w fascynujący proces śledztwa. Zbliża to reportaże Kuśmiera do literatury sensacyjnej w najszlachetniejszym sensie tego określenia. Mamy satysfakcję towarzyszenia przy dobrej robocie prokuratorskiej, bo przed okiem pisarza nie ujdzie niepostrzeżenie żadne ogniwo sprawy. Tęcza prokuratora jest tak zapętrzona, że wynik późniejszego procesu nie nasuwa żadnych wątpliwości. Ale nie ufajmy Kuśmierkowi na słowo: czy rzeczywistość jego szkice nie wykracza poza te minimalistyczne założenia zapisania pewnych wiejskich afer. Przyjmowane konwencje czasami nie przeszkadzają, a zaciemniają zakwalifikowanie rodzajowe utworu. Po-
en-
cjalnie reportaże Kuśmiera przekraczają granice gatunku, wychodzą w kierunku rodzajów wyżej zorganizowanych literacko. Nie są to różnice scholastyczne, choć rozgraniczenia gatunków nie dają się przeprowadzić ani ściśle, ani sztywno. W zbiorze Kuśmiera obserwujemy wyraźne ciążenie ku opowiadaniu, noweli, obserwujemy jakieś aspiracje nie mieszczące się w faktografię reportażu. Flarzen na marginesie „Początku opowieści” Mariana Brandysa trafnie spostrzegł, że reportaże wyprowadza ludzi raczej pod kąt z ilustrowania pewnego określonego problemu (bez samostannego zainteresowania nim), że w reportażu wystarcza schemat człowieka, jego szkice socjologiczne (nie obróśnięty tkanką odrębnej indywidualności). Otóż — tak rzeczy nie mają się w utworach Kuśmiera. Typowe na pierwszy rzut oka reportaże — to właściwie ekstrakty nowel, kondensacje bogatych, lecz nierozwiniętych w pełni wątków fabularnych. Dla nich zasadniczym obiektem są losy ludzkie, których indywidualność jeśli nie jest całkowicie zrealizowana, to w każdym razie dość wyrażała, żeby czytelnik potrafił ich zidentyfikować, rozróżnić, zapamiętać. Weźmy pod obserwację jedną z ubocznych postaci, świadka w sprawie Stanisława Adacha. Klimatyzacja Wrzoska, dawniej — jak Adachowie — biedniaka kieleckiego, w zasobnym gospodarstwie, sytuacja rodzinna, na tle której stają się zrozu-

małe jego „przedsmiertne plany”, stosunek do córki i parobka, stosunek Wrzoska do rodziny Adachów — to wszystko służy nie tylko uformowaniu typu chłopca-średniaka z nowobogackimi aspiracjami, ale dostarcza także dość rysów specyficznych, indywidualnych. Tkanka indywidualności jest już w pewnym stadium rozwoju. A przecież jest ona dużo zasobniejsza u postaci głównych.

Nie warto byłoby może tych spraw szerzej poruszać, gdyby na tej własnej linii nie leżały pewne istotne trudności rozwoju pisarskiego Kuśmiera. Bo linie te ujrzymy w całej rozciągłości przez porównanie „Adachowej biedy” i „Sprawy jednego konia” z „Pożarem”. Ostatni utwór różni się od początkowych nie tylko rozmiarami, lecz trudniejszym i ambitniejszym założeniem. „Pożar” jest chronologicznie późniejszy, jest świadectwem przechodzenia pisarza od reportażu do opowiadania, do szkicu powieściowego. I tu widzimy już dużo wyraźniej borykanie się pisarza z charakterystycznymi przeszkodami. Osią opowiadania są kolejne życia Stanisława Kocika. Zagadkowe sprawy degrenolady idowej człowieka (który na obczyźnie, jak sugeruje Kuśmiera, stał się komunistą) w momencie powrotu do kraju tworzenia jednego z pierwszych kolektywów gospodarczych na ziemiach odzyskanych. W dotychczasowych reportażach Kuśmiera nie mieliśmy do czynienia ani z próbą szerszego epickiego opisu (jak w scenie pożaru), ani z zakreśleniem przemian światopoglądowych człowieka na przestrzeni sporego okresu czasu (20 lat burzliwego życia Stanisława Kocika).

Kuśmiera okazuje się niebylejakim twórcą opisu. Do jednej z bardziej udanych scen w naszej literaturze nie tylko lat powojennych należy opis pożaru w Marszowicach. Dramatyzm tej sceny, jej szeroki rozmach epicki osiąga Kuśmiera dzięki nasyceniu jej do maksymalnych granic treścią społeczną. Wojtyra podpała własną zagrodę w związku z kalkulacjami na wypłatę premii asekuracyjnej, która — nie zmniejszona na latach kryzysu — pozwala zrobić interes na podpaleniu własnej gospodarki. W płomieniach pożaru ginie cała wieś, spłonie w nim również krawiarka zdobyta dorobek kilku pokoleń Kocików i marzenia o dostatniej starości Kocika-ojca. Interes kapitalistycznych drobnych posiadaczy, ich rachuby krzyżują się — jest to jedno z brutalnych praw dzungli. Prawo ogólnejsze kapitalistycznego ustroju jest podpatrzone w najbardziej konkretnej, przygotowanej odpowiednio, scenie pożaru, w niej skumulowane są prawa społeczne i losy indywidualne, z uwzględnieniem całej ich rozmaitości. Ekspozycja jest najdramatyczniejszą częścią opowiadania — pożar staje się przyczyną późniejszej emigracji Stanisława Kocika do Francji, za chlebem.

Gożej natomiast Kuśmiera wychodzi z próby „człowieka”. Ewolucje Stanisława Kocika były sprawą wymagającą większej subtelności pióra. Z narodkowej tkanki indywidualności, której narastanie obserwowaliśmy w obydwu reportażach, powinna się wykształcić pełna indywidualność ludzka.

Tak się akurat złożyło, że pewnego razu byłem obecny na dyskusji wśród sekretarzy powiatowych partii z całego kraju, podczas której Kuśmiera opowiadał fabułę swojego wówczas jeszcze nieopublikowanego „Pożaru”. Na sali znaleźli się towarzysze, którzy autentyczną historię reemigracyjnej spółdzielni na ziemiach zachodnich znali z własnych obserwacji. Wśród audytorium podniosła się burza. Kocik nigdy nie był komunistą — to kłamstwo, dowodził sekretarz tamtejszego powiatu. Nie byłoby to zarzutów istotnych — pisarza nie obowiązują bezwzględna wierność faktom, leczymy u podstaw jego utworu, jakiej się często niewprawny czytelnik, a zwłaszcza świadek zdarzeń doszukuje w literaturze i od literatury żąda. Gdy przeczytałem „Pożar”, musiałem w tym sporze przyznać rację owemu działaczowi partyjnemu. Nie tylko w którymś z dolnośląskich powiatów prototyp Kocika nie zasługiwał na miano komunisty. W opowiadaniu Kuśmiera nie jest on również komunistą. Dwa najważniejsze ogniwa w rozwoju Stanisława Kocika — pobyt we Francji, gdzie bohater rzekomo zdobył socjalistyczną świadomość, i praca w spółdzielni w momencie, gdy ją traci — wypadły z opowiadania i całe lub prawie całe (w tym wypadku przekształcając się w niezbędne wzmiarki informacyjne). Bez tych elementów sprawa główna — zdrada Kocika po powrocie do kraju, ów atawistyczny zawołanie jest dla czytelnika, podobnie jak dla sekretarza tamtego powiatu, zupełnie wyimaginowana. Tam, gdzie chodziło o zarysowanie pewnego procesu świadomościowego, z konieczności wymagającego użycia środków psychologicznej analizy, pióro Kuśmiera zawiodło. Tam, gdzie o zewnętrznych faktach zaobserwowanych trzeba było przejść do przeprowadzenia przemian w mentalności człowieka, załamała się przewodnia myśl opowiadania. I to jest znamienne, że Kuśmiera nie potrafił przeprowadzić idei swego opowiadania wbrew pierwotnemu bohaterowi. Zwycem chwytamy tu trudności na drodze między reportażem a opowiadaniem. Pisarz nie dość zaufał wyobraźni, poprzestał na odfotografowaniu bohatera „z życia”. Dlatego „Pożar” jest w rezultacie zestawieniem dwu rozbudowanych epizodów opowiadania. Na drodze do większych form epickich jaskrawo dają się we znaki nierozwinięte na wyki reportażu, które utrudniają roz-

winięcie skrzydeł dużego talentu epickiego Kuśmiera.

Sprawa Kocika zaprowadzi nas jednak może dużo dalej, do najistotniejszych zagadnień debiutu Kuśmiera. Błędy w rysunku postaci Kocika nie dają się sprowadzić do niedostatków rzemiosła, przyczyny ich leżą głębiej, bo nie tylko w „Pożarze” napotykałyśmy swoistą predykcję pisarza do przedstawiania rzeczywistości wiejskiej wyłącznie pod kątem procesu gnicia i rozkładu. Nie tylko w tym jednym wypadku dostrzegamy korupcyjną ścieżkę pisarza wobec przejawów budzenia się i wyrastania świadomości klasowej w szeregach wiejskich półproletariatu. Co temu żywiołowemu szczerzeniu się wyzysku, rozplenianiu się zła umie Kuśmiera przeciwstawić? jaką siłę społeczną? jakich ludzi?

Przed sześciu laty opowiadania lagrowe Tadeusza Borowskiego krytyka literacka przyjęła jako pewnego rodzaju prowokację moralną. Pierwotny „Dni na Harmenach” redakcja „Twórczości” czuła się obowiązana zaopatrzyć przewidywanym wstępem. Jeszcze świeże były niedawne przeżycia okupacyjne, gdy spierano się, czy formy walki o przetrwanie z fanatyzmem prawdą opisaną w cyklu opowiadań oświęcimskich Borowskiego były poza wszelką moralnością? Tak nie było. Kazimierz Wyka słusznie dowodził, że podskórny nurtem „Pożegnania z Marią” był rozrachunek z niewytzymającą próbą apokalipsy moralności mieszczańskiej, było poszukiwanie trwałych podstaw moralności ludzkiej. Spod ironii i sarkazmu rozlegał się głos pisarza-moralisty. W parę lat później Tadeusz Borowski napisał „Kłopoty pani Doroty”, treściwo dosyć bliskie opowiadaniom Kuśmiera. W pierwotnej redakcji dzieła pana Stasika otwierała litania moralistycznych aforyzmów. Moralność niedosłownie samowolniczego kandydata na posła Polskiej Ludowej umieszczona była na linii doświadczeń z tamtych lat, ale potrafił ją obecnie pisarz nazwać po imieniu, ująć w wyraźne kategorie klasowe, umiać konsekwentnie przeprowadzić oskarżenie reakcyjnych metod społecznych przed trybunałem byłych form, parobków, nędzarzy.

Kuśmiera nie jest (jak Borowski) moralistą z powołania. Problematyka moralna jest u niego wtórna — mimo to opowiadania Kuśmiera są właśnie dla czytelnika wyraźną prowokacją moralną. W Krzepicach, w Brzezinach, w Marszowicach nie ma miejsca na żaden odruch buntu przeciw terrorowi kufackiemu — żadnego przebytku świadomości klasowej wśród biedoty, ani cienia solidarności czy chociażby jakiegokolwiek współczucia. Adachowie, Zawadowscy — to tylko ofiary wyzysku, to tylko biedna, ciemna, cierpiąca masa. A współtowarzysze niedoli? „Nawet ci, którzy oburzali się (bezprawna kradzież konia — przyp. mój) — pisze Kuśmiera — robili to jakoś prywatnie i na własny użytek.” „A to chcieć — mówili — tak człowieka marnować!” Jeszcze ostrzej występuje zupełna obojętność wsi na wykorzystywanie przez Kelię będe Adachowej i jej potomstwa. Ludzie są tu do gruntu źli, obojętni moralnie, egoistyczni.

Rozwiązania konfliktów głównych następują w opowiadaniach Kuśmiera również trybem czysto prokuratorskim. „Trzy wojskowe samochody i czerwone oki Prokuratury Wojskowej świadczyły, że coś w tym mieście gruntuje się zmienia”. W tym schemacie zamyka się u Kuśmiera prawda o wsi polskiej na etapie poprzedzającym gruntowną przebudowę ustroju rolnego. To zbyt mało. Nie mamy żadnej rejonki, że gdyby dzięki przypadkowej interwencji „detektywa” nie wykryto machinacji Koronów, Kelińów i innych — cokolwiek zmieniłoby się w tych wioskach. Kuśmiera nie widzi tej optymistycznej, afirmującej życie siły, która poprzez świadomość wyzyskiwanych mas wchodzi w życie, ażeby je przekształcić. Walka nowego ze starym, obumierającego z rodzącym się — nie jest u Kuśmiera podstawą rozwoju naszej rzeczywistości, gdyż widzi on tylko stare, tylko umierające. Autorowi „Uwaga! człowiek” brak tego najważniejszego zmysłu pisarza socjalistycznego — wyczuła spraw nowych. Rzuca się w oczy, że Kuśmiera nie dostrzega zupełnie rewolucyjnych sił tkwiących w masach pracujących chłopstwa, że nie radzi sobie z postaciami nowymi. Te partie jego opowiadań są pisane lewą ręką (żeby użyć świętego określenia z „Notatek” Andrzejewskiego). W porównaniu z oryginalnością oskarżeń i świetnym demaskatorstwem optymistyczne epilogi są tylko dekoratywnym obramowaniem opowiadań. Ludzie pozytywni — działacze partyni są tylko tubą autorskich poglądów.

A prawo do krytyki? Nikt nie zamiera negować tej konieczności. Podkreślaliśmy doniosłość i celność krytycyzmu Kuśmiera. Lecz krytyka pochłonięła pisarza ponad miarę. W nadmiernym krytycyzmie Kuśmiera zatracił perspektywę rozwoju historycznego. Na podstawie tych opowiadań nie możemy sobie zdać sprawy z tego wielkiego procesu historycznego, jaki zapoczątkował się w Polsce w roku 1944. U Kuśmiera nie dostrzeżemy, że opisane fakty są pozostałością starego ustroju, a nie schorzeniem nowego, o który walczymy.

Taki dystans dzieł dziś jeszcze Kuśmiera od pozycji realizmu socjalistycznego. Uwaga! nowy człowiek — to powinna być wytyczna dalszej pracy pisarskiej Kuśmiera.

Tadeusz Drewnowski

GRZEGORZ TIMOFIEJEV

NAJWIĘKSZA Z OFENSYW

Tobie pieśń ta, republika wolnych,
gdzie stulecie i chwasty niw polnych
dłoń usuwa jak zmarszczki na twarzy,
gdzie zlocista brzoskwinia na śniegu
pnie się w blasku i uczy nas marzyć,
że jest słońcem, co stapia kres nocy,
odpychając krę lodów i biegun
aż po bezkres człowieczej wszechmocy.

Nad polami szły wiatry stepowe,
żar syciły zielonym zagonem
i cłyliły dziesiątki lat głowę
nędznym chłopom jak drzewa spalone.
Rewolucja sięgnęła rubieży,
choć jak ugor nie łatwo wieś ruszyć;
teraz stawia jak armię żołnierzy
las wysoki, by bronił od suszy.

Gdzie kamienne milczenie zawisło
Gór Turgajskich, uderza dzwon wody
i kołyszę powietrzem, by przyszłość
dała słodki rumianiec ogrody.
Tu z owocu odczyta się miłość
czarne dni odrzucając jak pestki
i nacyli się ręką troskliwą
gałąz, wiedząc krok dziecka do ścieżki.

Imperializm podrzucił chce głównie
rozżarzzone i znów grozi nocą,
ale biją w ten mrok elektrownie
nadwołzańskie, gdy światło z wód toczą.
One dadzą energię kombajnom,
ludziom pewność, że rccc milicjowa,
która czyni tu rzecz urodzajną,
także wroga zdruzgotać gotowa.

Myśl wcielona, wódz sławnych ofensyw,
mądry Stalin nad mapą ojczyzny
dziejom świata przyspiesza kształt przyszły
mówiąc ludziom i ziemi: rwij więzy!
Pochylony w troskliwe zadumie
nad historią — przez szlak pobojuwisk —
wiedzie lud z socjalizmu w komunizm,
gdzie i najbardziej zęśliwy jest człowiek.

Kazimierz Wyka

ANATOL AGRANOWSKI I WASYL GALAKTIONOW

NIESPOKOJNY DZIEŃ

(Wyjątek z powieści dokumentarnej pt. „Świt Wielkiej Budowy”).

Pierwszy zagadnięty chłopak podał się nas prowadzić. Nie doczekał się zaproszenia, wdrapał się na przednie siedzenie obok Cyryla Danilowicza i objął kierownictwo. Mały przewodnik był niewzruszony dumny ze swojej roli i potrafił podpowiadać „prosto, prosto”, nawet wtedy, kiedy nie było gdzie iść.

Samochód minął centrum miasta, przejechał przez zielony skwer i nie dojeżdżając do Wołgi, zatrzymał się na wzgórzu. Tutaj właśnie małe obwieścił, demonstrując nam, małe energiczne „r-r-r” jest w tym nowym słowie: — Stalingradhydro-

Szły jeszcze nie było. Na środku obornego, pustego podwórza stał biały, dwupiętrowy dom. Zresztą podwórza jeszcze nie było.

Parcelę tę, ogrodzoną plotem z płaskiej, przedziej można było nazwać placem budowy. W odległym kącie zwalona była kupa żwiru i niewywiezionych kawałków cegieł. A dom miał nowość, świadczącą całym swoim wyglądem o tym, że tylko to zostało wybudowane.

— Wy do wydziału kadr? — zainteresował się stróż i nie doczekał się odpowiedzi, dodał: — Parter, drugie drzwi na prawo...

Była to niezwykła myśl — prosto z lotniska, przed powrotem do Rynku, zajeżdżać do Stalingradhydrostroju. Wszystko to podobało się nam: i świeży wyheblowany poręcz, i długi, jasny korytarz, i zapach farby, zmieszany z zapachem sosnowych strużyn. Pociągająca była nawet pustka gmachu, przekazanego niedawno przez miasto budowniczym Stalingradzkiej Elektrowni Wodnej.

Na niemalowanych drzwiach dwiema pluskwkami przyklepiona była karta z zamasytym napisem: „ŁOGINOW”.

S I E G A

długich nocy, kiedy się budził z czemś lepkim od potu, od tej myśli, że może nie zginął od razu. Że może męczyli się bez końca pod tymi gruzami, których nie było komu odkopywać, pochowani za życia w moście, z której nie ma wyjścia? Koszmar nie do zważenia — głos dzieci, wołających go na pomoc, głos dzieci tonających powoli, ginących z głodu i pragnienia, duszących się z braku powietrza w posępnym grobie, w mauzoleum tych czterech pięter, które się zawaliły na nich, odcięły wszystkie drogi.

Wszelka męka i wszelka ofiara przestaje być bezcelową w blasku dzisiejszego dnia. Może musieli się zdarzyć właśnie tak, żeby rozmiłować wszystko potworny wicher, żeby ruiny wszystko w katastrofie — żeby z popiołów i śmierci mogła się narodzić Nowa, Wolna, Prawdziwa?

Szalony, szalony sen — potokiem ludzi płynie olbrzymia polana. Jasny dowód — że się może ziszczyć najbardziej szalone pragnienie, byle tylko dostatecznie żarliwie.

Cóż wy możecie wypisać w swoich notatkach? Jakże wy możecie pojąć, co się tu dzieje, i co znaczy dzisiejszy dzień?

Daleko, jak cichnący grzmot huczą czołgi. I teraz znów słychać szum sosen, poważny, melodyjny, od dziecka znany szum sosen. Dziwaczna jest ta cisza, która znów zapadła nad polaną. Tylko daleko głośnie, jak zyp kół, pohukiwanie. Po schodkach trybuny stukają kroki. Szumara ściga brwi. Teraz trzeba się przestawić na coś całkiem innego. Przyciszyć w sobie tamten ogień zachwyty, tamto uniesienie, stać się jednym z uprzejmych rozmówców.

Dziennikarze płoną niecierpliwością. Z pośpiechem rozkładają na długim, zbitym z desek stole swoje notatki, kajakiki, teczki, notesy.

— To są wszystko Polacy?

Pytanie zadane ot, tak, sobie. Bez przekonania. Bo już przecież wiedzą. Och, od wczorajszego wieczoru myśleli, kreśliли się, wietrzyli po wszystkich kątach. Już dobrze wiedzą. I nie o to im chodzi.

Ruchliwy człowieczek w okularach rzuca następne pytanie:

— Skąd się wzięło tylu Polaków?

Ach, tu cię boli. Jechali tu, przekonani, że zobaczą niedźnią garsteczkę, zebraną dla demonstracji, mało-wane wojsko, oszukawczy kawał, którym się chce zamyslić oczy. Widziałeś? Sam widziałeś, sam się przekonałeś, człowieku w okularach. Uwaga patrzyłeś przez te swoje okulary, biegając jak zając z trybuny, żeby się upewnić, czy cię nie oszukują.

— Przecież panowie czytali chyba, to się powtarza co dzień w polskiej prasie w Londynie, że zostały tu setki tysięcy. Więc skąd to dziwnie?

— Ach, w prasie...

Chudy dziennikarz uśmiecha się z dobitną ironią. No, chyba! — oni, przedstawiciele największych zagranicznych agencji, wiedzą dobrze, co jest prasa, ich prasa.

Pripotień pchnął drzwi, i weszliśmy do pustego, jeszcze prawie niumeblowanego i dlatego szczególnie przestronnego pokoju. Słoneczne kwadraty okien wyraźnie rysowały się na podłodze. Okna były otwarte na oścież i wiaterek bez ceregieli gospodarzył w pokoju. Przy odległym ścianie siedział za stołem gruby mężczyzna.

— Wstąp! — rzucił basem, lecz nie nam, a w słuchawkę telefoniczną. — Koniecznie wstąp! — znajdujemy dla was odpowiednią pracę. Popracujcie, poducycie się u nas.

Gospodarz gabinetu zakończył rozmowę, podniósł się na spotkanie i wymieniliśmy uściski dłoni.

— Pripotień, kierownik ekspedycji Hydroprojektu.

— Galaktionow, główny geolog.

— Loginow, kierownik budowy.

Miał silne ręce, grube rysy twarzy, jasną czuprynę. Oczy uważne, szare, o których zazwyczaj się mówi: „stalowe oczy”. Trzymał się swobodnie, mówił prosto i nie minęło pięć minut, a już się nam wydawało, że jesteśmy starzy znajomi.

— Wiosną pięćdziesiątego pierwszego koniecznie musimy zacząć budowę — mówił Loginow — wy przecież wykończyliście projekt w terminie? Do tego czasu powinniśmy zakończyć prace przygotowawcze...

Człowiek ten, postawiony przez partię na czele budowy, znał już na wylot cały tok przyszłych prac. Nie zmarnował on tych dwóch dni, które spędził w Stalingradzie.

— Byłem u was w Rynku, widziałem szosę — mówił Loginow. — Po- wiem bez osłonek — niebezpieczna. Przede wszystkim zajmujemy się transportem. Przecież w pełni robót będziemy codziennie otrzymywać niemal dwa tysiące wagonów do wyładowania. Miasteczko budowniczych postanowiliśmy zakładać na

lewym brzegu. Straszę mnie, co prawda, suszą i suchowiejają, lecz przyjechalśmy właśnie po to, aby walczyć z posuchą. Nie prawda? Budować trzeba solidnie, ładnie, ze wszelkimi udogodnieniami. Żadnych baraków tymczasowych. Od dawna wiadomo, że nie ma nic bardziej długotrwałego niż tymczasowe urządzenia — Loginow pierwszy zaśmiał się ze swego powiedzenia.

Przypomina Czirczikstroj. Kiedy budowniczym tam przyjechali, metrowe szczytyny przecinały wyschniętą ziemię. I całą tę budowę na pustyni należało zaczynać od nawodnienia i zazielenienia. A kiedy zaczęło żyć, rozkwitło miasteczko budowniczych, cała praca poszła zjawieć...

Tak, wiadomo nam, jak Fiodor Georgiewicz Loginow spisał się na Czircziku — przed terminem oddał hydrostację. On to odbudowywał Dnieprogros po wojnie. Loginow, jak wiadomo, zaczynał tam, kiedy Dnieprogros nazywał się jeszcze Dnieprostrojem — zaczynał jako dziesięć- nio — było to w latach pierwszej pięciolatki.

Schodzimy po schodach. Kroki echem rozlegają się w pustym gmachu. Daje się słyszeć głos stróża: „Wy do wydziału kadr? Parter, drugie drzwi na prawo”.

Dwie dziewczyny stoją przed drzwiami. W rękach mają walizki. Wyższa, ciemnowłosa, szczupła wyjaśnia, że są hydrogeologami i przyjechali z Taszkientu.

— Hydrogeolog? — wtrącam się. — Prawdopodobnie wyznaczono was do ekspedycji?

— Tak jest...

Ostateczną znajomość zawieramy w samochodzie. Ciemnowłosa dziewczyna nazywa się Raisa, Raisa Sienkiewicz. Ma szeroko rozstawione uparte oczy, śniadą, o nieco wystających kościach policzkowych twarz. Jest bardzo poważna — nie uśmiecha się — i pełna poczucia samodzielności: po raz pierwszy wy-

— DLA STALINGRADZKIEJ ELEK-

TROWNI WODNEJ.

Platformy wjeżdżają na prom, jest ich zadziwiająco dużo, lecz my stoimy w miejscu, dopóki nie przepuścimy wszystkich. Teraz z kolei gwizdzą statek i dumnie unosi cały pociąg na lewy brzeg. Tam — po-

rwała się dziewczyna spod rodzicielskich skrzydeł i przez cały czas zdążyła sobie z tego sprawę.

Druga dziewczyna — Helena Groszewa — jest zupełnie niepodobna do swojej koleżanki. Blondynka. Dłoki w pulchnych policzkach. Widać od razu, że lubi się pośmiać. Zresztą, obie koleżanki jednakowo interesują się, czy dużo młodzieży jest w ekspedycji, czy była tu kino, czy często udaje się odwiedzić stalingradzki teatr. I obie jednakowo spuszczają nosy na kwintę, kiedy Pripotień mówi, że pracować będą musieli nie w Stalingradzie, ani nawet nie w Rynku, lecz na lewym brzegu, czyli w pustyni, gdzie o żadnych teatrach nie może być mowy...

Dojeżdżamy do przeprawy promem przez Wołgę. Nigdy nie znudził mi się patrzeć na ten niezwykły obraz, który otwiera się tutaj przed nami. Do brzegu podjeżdża pociąg, — długi wąż naładowanych platform — i prosząco gwizdzą, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Woda już śpieszy ku niemu prom. Kiedy podchodzi zupełnie blisko, można zauważyć szyny, położone wzdłuż całego pokładu. „Włączaj hydrauliczną!” — rozlega się wysoki dziewczęcy głos. Już daje się słyszeć równy szum motorów i szyny podnoszą się do poziomu torów na brzegu. Pociąg poczyna powoli wjeżdżać na prom...

— Stójcie, Cyrylu Danilowiczu, stójcie! — krzyczy nagle Pripotień. — Patrzcie!

Z platform przejeżdżających mimo nas wyglądają olbrzymie skrzynie. Zrobiony na nich czerwona farbą napis głosi:

„DLA STALINGRADZKIEJ ELEK-

TROWNI WODNEJ.”

Platformy wjeżdżają na prom, jest ich zadziwiająco dużo, lecz my stoimy w miejscu, dopóki nie przepuścimy wszystkich. Teraz z kolei gwizdzą statek i dumnie unosi cały pociąg na lewy brzeg. Tam — po-

wtarza się wszystko od nowa. „Włączaj hydrauliczną!” — rzuca komendę dziewczęta i pociąg zjeżdża na ziemię i ruszy na plac budowy hydroweźla. Na plac budowy! Teraz przekonał się, że taki istnieje.

— Widzieliście, hydrogeolog? — uśmiecha się Pripotień. — A wy mówicie: „Kino”. Przecież i was samych będą nakręcać filmy!

Srebrzysta wstęga Wołgi znów zalsniała w oddali i wyonili się pierwszy drewniany domek przy drodze, kiedy zrównaliśmy się z jeszcze jedną dziewczyną. W rękę niosła węzełek, płaszcz i najwidoczniej była bardzo zmęczona. Litoficiw Cyryl Danilowicz zatrzymał wóz obok podróżniczki i w chwilę później okazało się, że również i ona udaje się do naszej ekspedycji. W tym roku skończyła Uniwersytet Charkowski, otrzymała dyplom chemika-analityka, kiedy zaś przyszły rozdział miejsc — poprosiła o Stalingrad. Jej nazwisko — Sizonienko, zwą ją Niła.

Dopiero następnego dnia wyjaśniło się, że ta postawna, tryskająca zdrowiem dziewczyna jest na prawdę ładna, że ma wspaniałe o złotym odcieniu włosy, duże jasne oczy, uśmiechnięte pełne usta. Lecz w tej chwili, kiedy się przez góry walek dostawała do naszego samochodu, plamy kurzu pokrywały jej twarz, oczy były przyćmione, włosy wymykały się w nieładzie spod chusteczki. Spodobało mi się, że dziewczyna była bezpośrednia i prosta. Spodobało mi się i to, że nie czekała ona na samochód i nie bała się roztopów, lecz przeszła piechotą niemal całe pięć kilometrów od Traktorowego do Rynku.

Uważnie przeglądałem nowiutki dyplom, który tu od razu w samochodzie okazał chemik-analityk... Przewodnik nauki. To również dobre. Pierwsze wrażenie było wyraźnie pozytywne, a ono właśnie często jest najprawdziwsze.

— Winszuję Wam, towarzyszu Niło Sizonienko, przystąpienia do kolektywu ekspedycji stalingradzkiej!

Uśmiechając się, dziękuję. — Pracować będziecie w grupie chemii naszego laboratorium. Na początek w charakterze starszego technika...

— ?!

— Wypoczniecie, rozglądnięcie się — ciągnął, udając, że nie spostrzegłem jej zdumionego spojrzenia — i za dzień, dwa, zajmiecie się analizą wód gruntowych.

— To wszystko? — w głosie Niły zadźwięczała uraza.

Wjeżdżaliśmy już do Rynku i rozmowa urwała się. Lecz wiedziałem z góry, co chciała powiedzieć. Jak to! Ukończyła Uniwersytet, otrzymała wyższe wykształcenie i zacząć pracę jako starszy technik? Robić nudne analizy wód gruntowych? Przecież ona, jeśli chcecie wiedzieć, zajmowała się tym podczas pierwszej praktyki studenckiej!

To było już poważniejsze niż zainteresowanie kinem i tańcami, i w czasie, kiedy w kantorze wydawano polecenie w sprawie zakwaterowania dziewcząt, Pripotień zadał chemikowi-analitykowi proste pytanie: — Czy wiecie, w jaki sposób określa się agresywność wody?

Niła Sizonienko dobitnie spojrzała na niego. Oczywiście, że wie. Podstawowa rzecz! I z podręczników się tego uczyła, i określała to podczas zajęć praktycznych.

— Tym lepiej — powiedział. — A teraz zapomnijcie na chwilę, jak o tym piszą podręczniki. Pomyślcie o czymś innym: oto przystępujemy tutaj do budowy hydroweźla, w wodach gruntowych znajdują się, powiedzmy, sole kwaso-siarkowe. Do czego to doprowadzi?

— Agresywne oddziaływanie wody — z niejaką wyższością przypomniał chemik-analityk — może wykazać się w następujący sposób: nastąpi reakcja siarczanowa i beton...

— Ależ nie beton! — przerwał Pripotień. — Zapomnijcie o betonie! To już nie beton, a zapaora. I oto, wyobraźcie sobie, zapaora ruje! W ciele zapory pojawia się jasne kryształki. One właśnie, jak obrzęk rakowy, będą rosły powoli, lecz nieustannie, dopóki nie zburzą wszystkiego, co ludzie z takim trudem wzniesli...

Pripotień nie mógłby się uskarżać na brak zainteresowania: dziewczęta w trójkę słuchały go z szeroko otwartymi oczyma.

— Okropne? — ciągnął kierownik ekspedycji. — Nie, zupełnie nie okropne. Ani trochę nie okropne, jeżeli budowniczymi zawczasu wiedza o ciemnych siłach, z którymi walka ich czeka. Znajac siły przeciwnika, budowniczymi zwyciężają zawsze. Zainstalują u podstawy zapory „kalosz” z gudsonu, zastosują specjalne gatunki betonu lub wymyślą jeszcze coś innego. I wówczas żadna agresja nie jest straszna...

Byłoby tylko w odpowiednim czasie i dobrze przeprowadzone zostały nudne analizy wód gruntowych.

Jednak Niła nie chciała tak łatwo oddać swoich pozycji. Ona, oczywiście, rozumie, jak ważną rolę odgrywa najprostszą analizę. I na Uniwersytecie zaznajamiano ich z podstawami hydrotechniki — nie tylko z właściwościami betonu. Wszystko to racja, lecz... Lecz wybierając się do nas chemik-analityk liczył na analityczną, twórczą pracę, niezależnie od innych, szarych robót.

— To bardzo pięknie — podchwycił Pripotień. — W ekspedycji po-

trzebną są ludzie, pałający chęcią twórczej pracy. I... dość różnol. Zabierając się, dowiedzieć. Cyryl Danilowicz rozwieje was do domów.

Nasz kierownik ekspedycji miał rację: dosyć różnol. Przyjeżdżając teraz potrzebowały nade wszystko wypoczynku. Poza tym nawet najbardziej podstawowe prawdy, nawet w rodzaju tej, że „nie ma pracy szarej i twórczej, a jest tylko szary i twórczy stosunek do pracy”, mimo wszystko trudno poznać ze słów. Człowiek powinien popracować, wypróbować siebie w pracy i tylko wówczas zrozumie on wszystko.

Przyjechali do nas dziewczęta ze studenckiej ławy. Otrzymały wyższe wykształcenie, jedna z nich była nawet prawniczką. Lecz specjaliści z nich byli jeszcze żadni. Po prostu żadni. To tu właśnie powinny one zrozumieć, że wypocznik wówczas jest naprawdę dobry, gdy stanowi nagrodę za pracę. To tu właśnie rozumieją, że nie ma lepszego przedstawienia niż to, na które się zjawiało po długim i trudnym marszu, kiedy po raz pierwszy od wielu miesięcy włożyłeś wyprasowane ubranie i wchodzisz do lśniącej sali teatralnej i czujesz, że wszystko tu jest dla ciebie — pracownika — i oświecające żyrandole, i eleganccy ludzie, i dobra gra aktorów...

To u nas, w ekspedycji dziewczęta zapomniały słów „ciekawe” i „nieciekawe”, poznają sens wielkiego państwowego słowa „Trzeba!” U nas w Stalingradzie nauczą się one prosić zawsze o udział w najtrudniejszych wyprawach, nauczą się siedzieć nocami nad niekończącą się analizą wód gruntowych, glin, piaskowców, rozumiejąc, w jakim celu to czynią.

Dziewczęta odjechały do wspólnej domku, którego trzy pokoki od tej chwili należały do nich, a my z Pripotieniem postanowiliśmy trochę odpocząć. Lecz widocznie sędzone było, by dzień ten — pierwszy po naszym powrocie z Moskwy — był dniem niespokojnym. Zaledwie opadliśmy w krzesła i wyciągnęliśmy zdrtnięte nogi, kiedy sekretarz oznajmił, że czeka na nas w Rynku od wczoraj jeszcze jeden przyjezdny — gleboznawca Siemion Nikolaiewicz Jegorow.

Była to wspaniała nowina. Imieniem naszego topografa, jeden z lepszych gleboznawców Hydroprojektu pracował na budowie hydroweźla Gorkowskiego. I kosztowało mnie wiele trudu osiągnięcie tego, aby Jegorow przyjechał do nas — przekonsultować naszych chemików, pomóc w zorganizowaniu badań. Zresztą daliśmy do tego nie bez ukłerty myśli...

— Czy chcesz, Leonidzie, aby nasze laboratorium połowe było najlepsze w Związku? — zapytał Pripotienia. — Zatrzymaj Jegorowa, niech zostanie u nas.

— A jak go zatrzymać? — zapalił się Pripotień. — Mieszkanie? Auto? Pensja?

— Zjednać go rozmachem robót.

Wszedł Siemion Nikolaiewicz i rozmowa nasza urwała się. Gleboznawca był niewysoki, krep, z wyglądu mrukiwy. W żaden sposób nie powiedziałby, że ma czterdzieści trzy lata, najwyżej — trzydzieści. Mówił spokojnie, cicho, krótko — żadnego niepotrzebnego słowa. Powiedział, że poprzedniego dnia zdążył się zapoznać z naszym niedawno otwartym laboratorium. Zespół w ogóle — podobno ma się, wiele trzeba od razu przełamać. — Przede wszystkim biurokracizm: „Podajcie mi przez okienko wzór — a ja wam przez okienko analizę”. Słaba łączność laboratorium z pozostałymi ogniwami ekspedycji.

Nie można powiedzieć o Pripotieniu, że nie uważał krytyki. Lecz twierdził, że lubił ją — także byłoby niesłuszne. Kierownik ekspedycji, usłyszawszy opinię Jegorowa, nachmurzył się, zasapał i powiedział: Krytykować łatwo, a co z pomocą? Jegorow spokojnie odparł, że po to właśnie oboje przybyli, tydzień — dwa będzie musiał się zatrzymać. Pripotień mruknął coś o występach gościnnych i ogarnął mnie niepokój o powodzenie moich tajemnych zamysłów, kiedy kierownik ekspedycji gwałtownie przystąpił do ataku:

— Wy przecież lubicie swój zawód, Siemionie Nikolaiewiczu, wiem! Budowlanie kanału Moskwa — Wołga, hydrowezeł Szczerbakowski, Wołga — Don. Czyżby więc nie wstąpił was stalingradzkie rozmiary?

— Bardzo interesujące — wstrzemięźliwie odpowiedział Jegorow.

— Mogę stworzyć takie warunki, że laboratorium w Rynku będzie najlepszym w Związku — atakował Pripotień. — Powiedziecie, co jest do tego potrzebne?

— Potrzebne jest locum i urządzenie — wymówił gość, nie wierząc zresztą krasomówczemu kierownikowi — przede wszystkim zaś locum.

— Będzie! Układajcie projekt, kreście wszystko, co wam jest potrzebne. Oto papier.

Jegorow odpowiedział, że tak nagle nie potrafi nakreślić planu. Sprawa jest poważna. Co najmniej tygodnia trzeba, aby wszystko rozważyć, nie zapomnieć niczego.

Tak, tak, szczególnie, żeby nie zapomnieć — podchwycił Pripotień. — Przecież to laboratorium ekspedycji Stalingradzkiej! Powinno odpowiadać wymogom współczesnej



Pierwsze studia
Aleksander Rafałowski (Z notatnika I Armii)

— Związek Radziecki daje nam brzo, wyżywienie i umundurowanie. Daje nam także instruktorów. My dajemy ludzi.

Brwi podnoszą się w uprzejmym zdziwieniu. Błąka się po ustach niepewny uśmiešek, wąpiący i obelżywy. No dobrze, można przecież teraz i im zadać pytanie...

— A lotnicy polscy, biorący udział w obronie Londynu, z jakich środków czerpią?

Kolorowy ołówek kreśli się w długim, wypielegnowanych palcach. Znowu ironiczny, pobłażliwy uśmiešek. Cóż, łatwo odpowiedzieć, przecież wszyscy wiedzą. I ten pytający też dobrze wie. Może czeka, że się go ze złości okłama? Niby dlaczego? Można przecież powiedzieć prawdę, stwierdzić fakt.

— Ach, lotnicy... Rząd polski w Londynie rozporządza przecież złotem, które mu się udało uratować... Tam ta kwestia nie istnieje...

Rzeczywiście, tam ta kwestia nie istnieje. Za każdą bombę, zrzuconą z polskiego samolotu, płaci się Anglii polskim złotem. Za każdy nabój, wy-

Nie może być, żeby to tak rrosto i jasno było, jak się mówi, jak wygląda...

— Więć żadnych zobowiązań w imieniu przyszłego rządu?

— Jakże to mogą być zobowiązania? My dajemy ludzi, rząd radziecki brzo. Dajemy to, co mamy — własny zapal i własną krew.

Anglik pisze pilnie w brunatnym notesiku. Nie mieści mu się to wszystko w głowie. Nie ma co więcej mówić — nie rozumie i tak. Nawet gdyby mu powtórzono tamtą rozmowę. Gdyby posłyszal spokojne słowa człowieka w Kremlu. Słowa o tym, że lud radziecki nie handluje krwią. Chce pomóc. Powtarza tylko to, co powiedział wtedy, w październiku — dwadzieścia pięć lat temu — wolna, niepodległa Polska. Chce pomóc tej Polsce, żeby rzeczywiście mogła być wolna i niepodległa. Człowiek jest rzeczą cenniejszą od złota i od brzoń, i od wszystkiego na świecie. Ludzkiej krwi nie można opłacić żadną ceną.

Tak, tu wiedzą, co znaczy życie i co znaczy śmierć. Tu wiedzą, co znaczy krew przelana na polu boju. Tu nie

nauki. — I zakończył nieoczekiwanie: — Tydzień — to za dużo; daję wam trzy dni — i przedstawicie swoje propozycje.

Siemion Nikołajewicz z uśmiechem spojrzał na mnie, jak gdyby mówiąc: „I jak tu się z nim spierać — gorąca krew ten wasz kierownik”, i prawdopodobnie ciągnąłby mimo wszystko spór dalej, lecz w tej chwili z ulicy rozległ się bas Romana Konstantinowicza Husarowa i za chwilę on sam wdął się do pokoju — oburzeni, wesoły, zadowolony z życia jak zawsze.

Po pierwszych słowach powitania zaraz zaczęła się rzeczowa rozmowa o nowych planach, o nowych horyzontach. Jegorow podniósł się do wyjścia, lecz zatrzymał się go. „Dokąd się spieszczy. Siemionie Nikołajewicz? Posiedźcie, pomożecie nam”. Pripotien kiwnął z aprobatą głową, rozszyfrowawszy mój zamiar powrotnego ataku. Husarow został uroczystie przedstawiony Jegorowowi i rozmowa potoczyła się dalej.

Husarow wraz z Tatjaną Łutochiną ma teraz za zadanie badać materiały budowlane. Potrzebny jest przede wszystkim gruboziarnisty żwir do betonu. Betonu potrzeba pięć milionów metrów sześciennych, to znaczy, że piasku potrzeba trzy miliony, a zbadać należy osiem milionów. Co za rozmach prac! Pripotien spogląda ukradkiem na przyjeźdnego globownawcę. Piasek nie spoczywa w naturze, podobnie jak cukier w magazynach. Bywa zanieczyszczony glinastymi substancjami. I jeśli domieszk tych jest ponad pięć procent — piasek się nie nadaje. Nieprawdaż? Pripotien ponownie zwraca swój wzrok ku gościowi. Ten potwierdza skinieniem głowy.

— Piasek powinien być przedniej jakości, każda jego typowa próbka trzeba będzie posłać do laboratorium — przypomina Pripotien i znów spogląda na globownawcę.

Jegorow jest wytrzymali. — Ile potrzeba czasu, aby zbadać w laboratorium wszystkie próbki? — prowokuje go Pripotien do rozmowy.

— Przy dobrej organizacji wystarczy miesiąc — krótko odpowiada Siemion Nikołajewicz.

Stopniowo zapominamy o globownawcy i wszystkich naszych tajemnych zamiarach: przychodzą nowi ludzie, wypływają nowe zagadnienia, wymagające niezwłocznego rozwiązania. Uchwała rządu nakazuje przeglądanie pracy wszystkich ogniw ekspedycji.

Krok za krokiem w czasie rozmowy sprawdzaliśmy z Pripotieniem pracę wszystkich węzłowych ogniw naszej ekspedycji: grupy geologów i licznych IGP, magazynów i pracowników, przenośnych elektrowni i garku samochodowego. Z rzadka jedynie przypominałem sobie o naszym gościu i spojrzałem na niego czulem, że nie mogliśmy wymyślić nic lepszego, jak zostawić globownawcę w spokoju, umożliwić mu samemu zaznajomienie się z rozmachem prac.

Było już po północy i zaczęliśmy poważnie myśleć o wypoczynku, kiedy z ulicy dał się słyszeć warkot motoru. Do pokoju wszedł pewnie wysoki, barczysty, wyprostowany starzec. Podróżny płaszcz z kapturem wolno opływał jego okazałą figurę. Powiedzieć o brodzie przybyłego, że jest bujna, znaczyło to samo, co nie powiedzieć nic. Nieskazitelną białą, olbrzymią, skrzącą się kropelkami deszczu, nie chciała w żaden sposób ukryć się pod płaszczem i uparcie występowała na pierwszy plan.

— Alszanski! — wykrzyknęliśmy jednym głosem. — Co was sprowadza?

Starzec poruszał zmarszczkami, schował oczy pod brwiami i począł spokojnie zdejmować płaszcz. Następnie chusteczką do nosa wytarł twarz, przysiadł oboma rękoma w łóżko, poprawił brodę ku tyłowi, przywitał się po kolei ze wszystkimi. I dopiero potem powiedział:

— Przyjechałem na kanał Stalingradu — oto gdzie. Was bracie na holownik.

Przybycie gościa — to okazało się wspólną herbatą. Dopiero teraz poculiśmy, jak bardzo przegodził się nam. I oto wkrótce samowar śpiewa swoją serdeczną pieśń, zebrane są kawalerkie szklanki bez spódków, z walizek wyciągnięto podróżne zapasy — kiełbasa krakowska, szpryki, faszerowane tytki, siołki grzybków. „Herbatka” doszła szczególnej. Tłumaczmy się gęsto, że dziś jesteśmy jeszcze gośćmi we własnym domu i nie możemy niestety przyjąć przybyłych jak należy. Zresztą rozmowie to bynajmniej nie przeszkadza.

Interesują mnie postępy badań na całej trasie Wołgi — Uralu. Przecież wspólne kierownictwo naukowe skupione jest w naszych rękach; kanał — magistrala — to część węzła stalingradzkiego.

— A więc dogadajmy się od razu — zwracam się do Alszanskiego. — Szczególną uwagę zwracać należy na chwałyńskie gliny czekoladowe. Spotkamy się z nimi na całej trasie, a jest to straszna „czekolada”, pelżająca.

Zwracam się do Nikołaja Włodimirowicz, a sam dostrzegam wielkie zainteresowanie, które odbiło się na twarzy Jegorowa. Siemion Nikołajewicz aż przechrzął się ku nam ze swoim krzesłem. No, oczywiście, jak mogłem o tym zapomnieć: w 1948 r. na Wołgę — Donie nasz hydroweżel na pewno natykał się na chwałyńskie gliny...

— Ty tylko, Nikołaju Włodimirowiczu, prób do nas nie przysyłać!

mówi Pripotien. — Sami zbierzcie, to i badajcie sam w swoim laboratorium.

I tu właśnie Jegorow wtrąca się do rozmowy.

— Nie mogę się z wami zgodzić, Leonidzie Aleksandrowiczu — oświadczam. — Chwałyńskie gliny należy badać bardzo starannie, za pomocą jednolitych metod.

— A terminy? — pyta cicho kierownik ekspedycji. — Zobowiązaliśmy się na 33 rocznicę Października zakończyć pracę. Daliśmy zobowiązanie.

— Dobrze — godzi się Jegorow, — rozumiem to. Lecz dlaczego ma na tym cierpieć jakość?

— Ich laboratorium nie jest gorsze niż nasze — odpowuje Pripotien — równie dobrze pozna się na tej „czekoladzie”...

— Ależ zrozumcie, nie o to chodzi — ich czy nasze! — Jegorow po raz pierwszy mówi „nasze”. — Ważne jest, aby wszystkie badania skupiły się w jednym laboratorium, w jednym ośrodku.

— Nie zgadzam się! — huczał kierownik ekspedycji. — Nie zgadzam się, aby z tego powodu pękły terminy. Nie zgadzam się i koniec!

Siemion Nikołajewicz wstaje, blednąc:

— A ja wam z całą odpowiedzialnością oświadczam: potrafiłbym! Zrozumiem? W ciągu półtora miesiąca wszystkie próbki zostaną zbadać w laboratorium.

Jegorow jak gdyby milknie z początku po tym zryw, po czym bierze dużą kartę papieru ze stołu i nie mówiąc ani słowa, idzie przez cały gabinet ku drzwiom. Kiedy wychodzi, Alszanski pyta z usprawiedliwioną aprobatą:

— Kto to jest, taki gorący? Pripotien, spoglądając na mnie z ukosa, zamyśla się na chwilę i cicho mówi:

— Poszedł kreślić plan nowego laboratorium. A mówił, że potrzebuje tygodnia... Takie to sprawy... To, Nikołaju Włodimirowiczu, kierownik naszego laboratorium. Od dzisiejszego dnia.

Anatol Agranowski
i Wasyl Galaktionow
Przełożył S. Kozłowski

Z PRASY RADZIECKIEJ MIESIĘCZNIK „LITERATURA RADZIECKA”

„Literatura Radziecka” ukazuje się w kilku językach europejskich i dociera do czytelników wielu krajów. O żywym oddźwięku, jaki wywołuje miesięcznik, świadczy chociażby lista czytelników i korespondentów, otrzymywane przez redakcję i omawiane systematycznie w rubryce „Nasz dziennik”. Sama koncepcja pisma posiadającego niejaką charakter międzynarodowej trybuny literackiej jest bardzo ciekawa. W dobie upadku wielu czasopism literackich na zachodzie Europy, wydawane periodyki zamieszczające w każdym numerze powieść, dramat lub tejsze obłędności, które opowiadają — jest jeszcze jednym dowodem żywotności i olbrzymiego rozwoju literatury radzieckiej.

Zasadnicza funkcja miesięcznika — to zapoznanie czytelników z najistotniejszymi problemami radzieckiego życia kulturalnego. Temu celowi służą zamieszczone sprawozdania z najważniejszych dyskusji literackich, szerokie informowanie o zjazdach pisarzy, omawianie literatury narodów ZSRR, publikowanie najciekawszych utworów literatury. Miesięcznik wykracza daleko poza omawianą wyżej działalność. Jak i inne czasopisma radzieckie jest on trybuną walki o pokój. Temu zagadnieniu poświęca redakcja zawsze czołowe miejsce, publikując uchwały Światowego i Radzieckiego Komitetu Obroncy Pokoju, głosy pisarzy radzieckich na ten temat, omówienie prózy i poezji, zarówno radzieckiej jak i innych krajów, z punktu widzenia ich znaczenia w walce o pokój. Redakcja uważa za swój obowiązek zadanie walki o pokój za wszelką cenę i nie ma takiego numeru, w którym zagadnienie to nie znalazłoby wyrazu. Oto kilka pozycji z ostatnich numerów, wiążących się z tym tematem. W. Iwanow „W imię życia i pokoju”. K. Aleksandrow „Kino i sprawa pokoju” (II), Nairi Zarian „Poezja ormiańska w walce o pokój” (IV), Depiserewski „Teatr w walce o pokój” (VIII).

Systematycznie omawiana była w miesięczniku twórczość postępowych pisarzy zagranicznych w ramach stałych rubryk „Literatura obokrajowa” i „Literatura krajów demokracji ludowych”. W ostatnim numerze (8) znajdujemy np. dwie obszernie monografie poświęcone wybitnemu hiszpańskiemu poecie Garcii Lorce, amerykańskiemu pisarzowi Lincolnowi Steffensowi, oraz artykuł omawiający książkę włoskiego pisarza Erzo Taddei „Fabryka mowy”. W ramach działu „Literatura krajów demokracji ludowych” została poddana krytycznej analizie proza polska związana z tematyką wiejską (Wichrowa „Obrazy wsi polskiej” — II 1951).

Poważne miejsce, jak zresztą i w innych miesięcznikach radzieckich, zajmuje tu literatura piękna: proza i dramat. Działu poezji ze względu na specyficzne warunki, a mianowicie na konieczność tłumaczenia w kilku językach, redakcja w zasadzie nie prowadzi. Jak było zaznaczone

na wstępie, czytelnik otrzymuje, nie licząc reportażu, co miesiąc około 150 stronice prozy dużego formatu. W pierwszym półroczu b. r. ukazały się następujące pozycje: A. Koptielowej, „Doktor Ażanow”; A. Kożewnikowa „Żywa woda”; H. Nikołajewej „Złnwa”, opowiadania Antonowa, Gonczara, Donczeki, Teunowa, „Pływająca stacja”; Zakrutina, w 7 nr. ukazał się dramat A. Suworowa „Swit nad Moskwą”. Wybór wskazuje na to, że redakcja pragnie zaprezentować najbardziej typowe i przełomowe pozycje prozy radzieckiej.

Redakcja czasopisma w większości wypadków omawia publikowane prace, poddając je krytycznej analizie. Cechą tych artykułów jest interpretacja utworów, przeprowadzona przede wszystkim z punktu widzenia nowych problemów życia społeczeństwa radzieckiego. W „Złnwie” (Nikołajewej) — p. s. Jeremiej „(Nowe w życiu i literaturze)” — autorka zwraca uwagę zwłaszcza na te strony rzeczywistości, na te stosunki, uczucia i konflikty, które świadczą wymownie o wszystkim, co już jest nowe i komunistyczne w dzisiejszym życiu narodu radzieckiego. Gdy kierowniczka firmy kołchozowej otrzymuje nagrodę za swoją pracę i wybiera ją dla niej jedną z najlepszych owiec — ona protestuje: „Nie dam — oświadczam — kategorię, jak gdyby owca była przeznaczona nie dla niej a dla kogś innego... Najlepszą owcę mi zabieracie. Któż to widział takie porządki?”. W ten sposób — stwierdza Jeremiej — Nikołajewa uchwyciła istotny moment w rozwoju nowej świadomości — zatracie się granic między osobistą a społeczną własnością.

W ramach działu „Przeobrażenie przyrody” ukazują się w 4 numerze praca B. Kowdy „Wielkie budowie”. W tym artykule autor zapoznaje czytelników z problemami wielkich budowli komunizmu, ze zmianami, jakie nastąpią w geosferze, biosferze i klimacie po wprowadzeniu w życie Stalinowskich Planów Przeobrażenia Przyrody. W ciekawym szkicu-reportażu K. Łapin (5) opisuje podróż po Woldze na terenie, gdzie już prowadzone są prace. Głównym punktem zainteresowania tego ciekawego szkicu są ludzie, jest entuzjazm budowniczych.

Przytoczony wyżej rejestr nie obejmuje wszystkich rodzajów prac zamieszczanych w czasopiśmie, takich jak omawianie twórczości klasyków rosyjskich i narodów ZSRR, jak artykuły o najnowszych osiągnięciach nauki radzieckiej, bogata kronika i temu podobne.

Kilka słów o polskim wydaniu miesięcznika „Literatura radziecka”, które ukazują się obok angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego i niemieckiego.

Poziom przekładów, szczególnie w dziedzinie literatury pięknej, nie zawsze jest odpowiednio wysoki. W przekładzie wspomnianej już powieści „Pływająca stacja” (szcze-

gólnie w pierwszej części — tłumaczył Rackiewicz) można znaleźć liczne potknięcia, źródła ich leżą głównie w próbie zbyt mechanicznego przeniesienia szyku, słów i składni języka rosyjskiego. Można również znaleźć potknięcia w tłumaczeniach wstawek wierszowych, najczęściej tam, gdzie brak jest jeszcze tłumaczeń polskich (poezja narodów ZSRR), rzadziej w wypadkach Majakowskiego, Puszkina, gdy redakcja słuszenie wykorzystuje istniejące tłumaczenia polskich poetów.

Braki przekładów nie umniejszają olbrzymiego znaczenia miesięcznika dla czytelnika polskiego. „Literatura radziecka” jest jednym z najpopularniejszych czasopism w Polsce, można ją znaleźć we wszystkich zakątkach kraju. Zasięg miesięcznika jest zapoznanie czytelników z najcenniejszymi utworami literatury radzieckiej, z aktualnymi zagadnieniami literaturoznawstwa, z zasadami estetyki realizmu socjalistycznego. Na łamach pisma publikowane są prace krytyków i pisarzy posiadających wieloletnie doświadczenie w dziedzinie walki o prawdziwą, realistyczną sztukę. W wielu wypadkach mogą one być drogowskazem dla artystów poszukujących drogi do twórczości związanej z masami ludowymi. W pięknie napisanej pracy K. Fiedina „Kunst p.sarski” (stęgnom przemówienia wygłoszonego na Zjeździe Młodych Pisarzy) czytamy:

„W jakim celu należy opanować wysoką technikę literacką?”

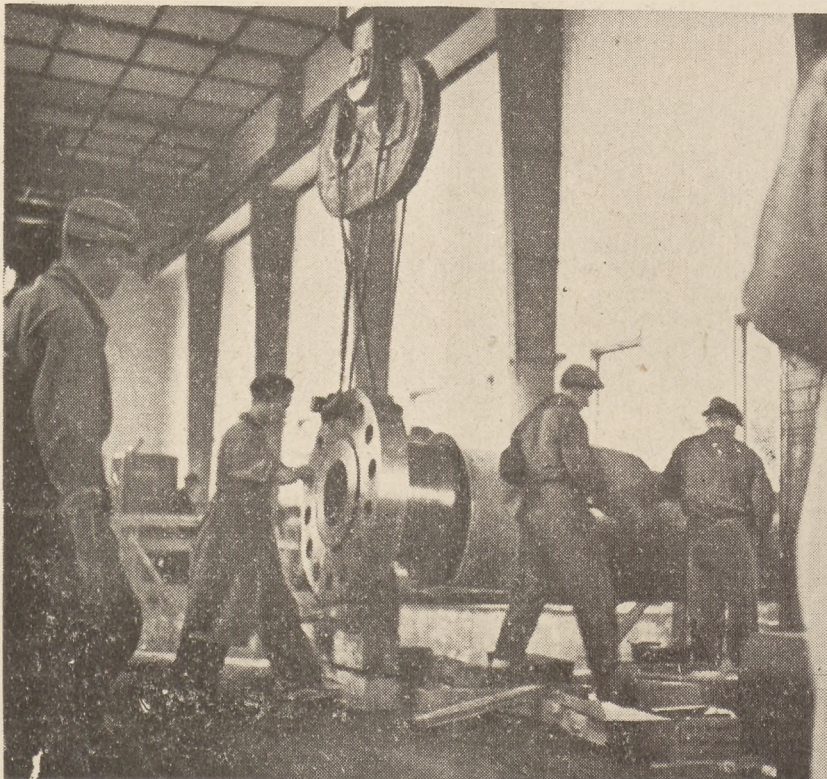
Czy po to, żeby grzecznie zamaskować niemożliwość i niewielką znajomość rzeczy, jak się to robi w rzeczywistości burżuazyjnej literaturze Zachodu? Oczywiście, że nie.

Aby jak najlepiej wyrazić bogate myśli i wiadomości, potrzebna jest bogata forma, czyli sztuka. Sztuka to sztuka wyrażania wielkiej prawdy życia. Nie należy sądzić, że opanowawszy wysoką technikę literat., opisujący fałszywy fakt, uczyni zeń prawdziwy. Fałsz pozostanie fałszem i u majstra, i u czeladnika.

Kunst, który nie służy wielkiej treści, jest oszustwem. To się właśnie nazywa formalizmem: powłoka nie zawierająca treści wewnętrznej, technika dla techniki. Wysoki kunst pozwala głębiej wnikać i wielostronnie odtworzyć życie duchowe bohatera. Prawda i piękno słowa, scalenie wszystkich elementów formy silnie i głęboko oddziaływa na wyobraźnię i duszę czytelnika. Ale czysty kunst słowa, samo tylko zewnętrzne wirtuozostwo nigdy nie chwyci za serce, nie ożywi go.”

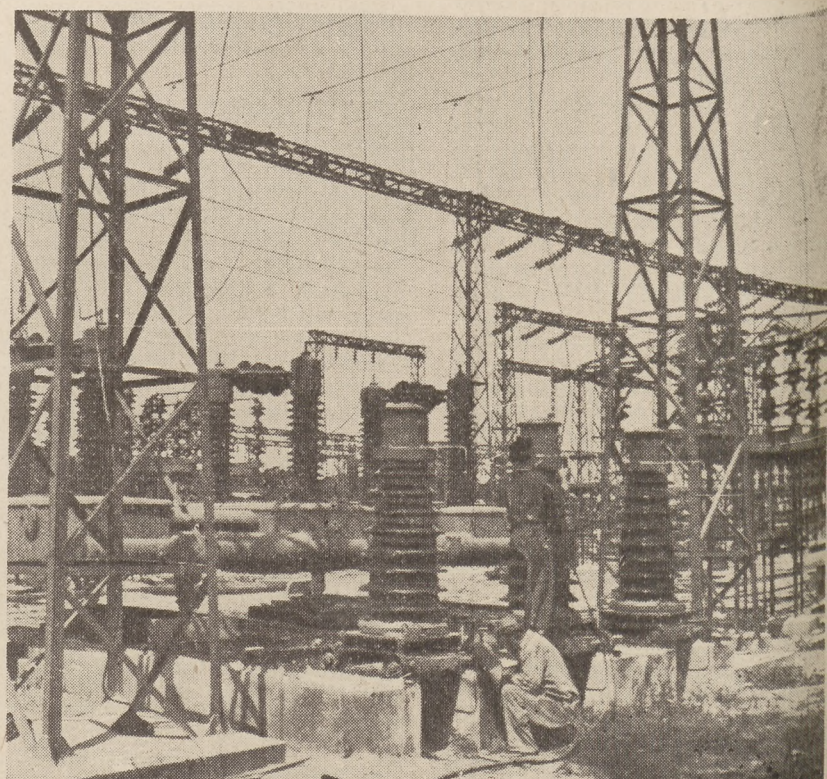
Udośpienie czytelnikom w wielu krajach doświadczenia teoretycznego, zdobytą przez literaturę radziecką w walce z dekadencją sztuką burżuazyjną — oto wielka zasługa miesięcznika.

(Dokończenie ze str. 6-ej)



Montaż turbiny

Fot. R. Burzyński



Spawacze przy pracy

Fot. R. Burzyński

cznić z naszego narodu dostawę niewykwalifikowanej siły roboczej dla hitlerowskiego „übermenscha”. Dziś co rok tysiące nowych inżynierów i techników staje do pracy — a przecież nim zaczęliśmy wycnować ludzi, musieliśmy „wychować” nowe uczelnie. A jednak... a jednak bez radzieckiej pomocy nie ruszyłbyśmy jeszcze Dychowa. Jest on jednak jeszcze jednym „uniwerskiem” — w warunkach „dychowskiej korepcji” radzieckich speców, jako uboższy produkt ich pracy, otrzymujemy majstrów o nowych kwalifikacjach, zdobytych w toku roboty. Wschodzące nad Dychowem słońce widzi co dzień nowe instalacje techniczne, ale też oglądają je co dzień oczy bogatszych w wiedzę techniczną polskich elektryków.

Gdy po pracy idziemy gromadą do wyjścia, asfalt lśni wilgocią. Inżynierowie spoglądają groźnie na wysoką skarpe. Widzę, że „przeciek” ma wyraźną kolejkę w ich robocie.

— Tylko, kiedy Cebratowicz wróci — słyszę czyjeś pytanie.

— Jest podobno w Związku Radzieckim.

— Na którejś z wielkich budowli komunizmu — dorzuca ktoś jeszcze.

Patrz uważnie na twarz idącego koło mnie „spec’a” i wydaje mi się, że przemknął po niej zamysłony półśmiech.

— Nie przykro tak daleko od żony — pytam kroczącego z drugiej strony Anusiewicz.

— Daż na mienia domu wstąpił. Jechat! bajus — śmieje się gwałtownie, aż liczne zmarszczki zbiegają mu się koło oczu, świadcząc o niewidocznej skądinąd powadze jego 46 lat. To na własne uszy dwunastoletni Anusiewicz słyszał wystrzał zbuntowanej „Aurory”. Dziś dorósł już syn majstra studiującego na leningradzkim uniwersytecie. Po prawo do nauki nie tylko dla swojej młodości — siedzi i przez polskie ziemie, jako żołnierz armii gromiącej hitlerizm.

*

Mgła wstaje nad jeziorami. Ostatni robotnicy przechodzą przez czerwony most. Daleko zaciemnia się zwołna sylwetka strażnika z karabinem. Ciżba płynie coraz szerzej. Zapalają się pierwsze światła. Poprzedzając je już liście smugi blasku kładą się na wodzie. W dole rzędy kulistych lamp marowato ciemnieją i znów powoli nabierają światła — jakby elektrownia oddychała! To zapewne jakaś kolejna próba. Technika idzie w mrok bezszelestnym krokiem światła, czule i blisko wpleciona w naturę. Gdzieś w dole widać przymięcie — zólkoty liść w bezwładnym powietrzu waży się długo w kręgu lampy — spada ku niej w dół. Polska jesień. Może lepiej niż kolor liści mówi o niej rumieniec cegły. Nowa, pełna życia „polska jesień”. Z daleka, od strony łaki, na której stoi ciemny kontur domu, dolatuje nagle harmonoska, jej lekko ochrypły głos woła o „drzecz, drzecz pod bombami”. Słyszysz słowa refrenu: „Jeszcze jest, u nas doma diela”.

Gdy wychodzę spoza masywu zapory, widzę w dole gmach elektrowni. W administracji świeci się. Przez otwarte okno widać głowy pochylonych nad stołem ludzi. Nigdy bym nie przypuścił, że stąd, z „trzęsiego pietra” zapory, z „zanku wodnego”, poprzez lśniąca w dole szosę odróżni wyraźnie głowy delegatów KW Partii, ciemną czuprynę młodzieńczego dyrektora elektrowni, Rogalińskiego...

Przypominam sobie, że to zapewne rozmowa na temat kadry załogi elektrowni. Schodzę na dół.

Kiedy zbliżałem się do ich pokoju, już na schodach przywitało mnie miłe bulgotanie śmiechu. Stojąc na progu widziałem, jak referent personalny daremnie chciał coś tłumaczyć rozbawionym ludzkom.

ego

— Słuchajcie — zwrócił się do mnie „ekonomiczny” — mamy tu czyjaś ankietę, spójrzcie, w rubryce „pochodzenie” pisze „inteligencja pracująca”, a okazuje się, że jego ojciec to przedwojenny strażnik więzienny we Wronkach. Co wy na to? powiecie jako reprezentant inteligencji pracującej?

Ale „wydział kadr” nie lubi tracić czasu. Pada nazwisko mego znajomego robotnika, który poprzez westfalską emigrację przybył do kraju. Opis jego pierwszych kroków tutaj otwiera ten reportaż. Ktoś mówi: coś go tak nagle ruszyło po czterdziestu latach do powrotu? „Kadry” prostują się: dla mnie to jasne — wojna go uświadomiła, nasz nowy kraj pociągnął i chłop wrócił, ja tam wszystko rozumiem.

— Z własnej praktyki — mruga do mnie „ekonomiczny”.

— On jest w tej chwili w Partii — dorzuca Rogaliński. — Rosjanie mówią o nim bardzo dobrze, jest zdolny...

Widzę oto, jak z oddziału, który szedł do natarcia pod dowództwem Leningradczyków, pozostają tu zasłużeni żołnierze linioi linii wysokiego napięcia. Leningradzki sztab dychowskiego frontu pojedzie na inny odcinek... Jaworzo, Czorszyn... zapalają się w pamięci światła na mapie kraju. Wojenna trasa radzieckich ludzi stworzyła u nas warunki powstawania narodu socjalistycznego, wróciła ojczyźnie ludzi z Francji, Westfalii — tak teraz pokojowy „wielki marsz” speców stawia tych ludzi na wyższym szczeblu wiedzy zawodowej. Tymczasem nauczyciele produkującej techniki, którzy, jak Anusiewicz, nie mieli czasu „obejrzeć Polski”, spójrz na nią już wkrótce, bo daj w podróż na miejsce nowego wysiłku.

— Robię trzy budowy — mówił młodo wyglądający blondyn w okularach, jak się okazało „tylko o jedną córkę młodszy od Anusiewicza”, który opowiadał mi o „walce polsko-radzieckiej”, jaka wywiązała w następstwie tego, że harmonogram terminów budowy, przygotowywany przez projektantów radzieckich, przewidywał szybsze ukończenie prac, bo opierał się o cykl roboty na trzy zmiany, podczas gdy Dychow pracował na dwie. — Ale wasi ludzie twierdzą — i po szesnastu godzin, bywało, od maszyn nie odchodził, no i wszystko się zgodziło. Przecież nie mogę się do domu po pracy spóźnić — mówi ktoś, kto „do domu” ma ponad tysiąc kilometrów.

*

Samochód rwie po asfaltowej drodze. Oglądam się — za nami, jak wielka góra blasku, jaśnieje dychowska elektrownia. Widać, jak w wodzie u stóp gmachu zęglują odbicia jej licznych światła. Jest coraz dalej...

Nie sądziłem, że jeszcze tej nocy na ciemnych ulicach Zielonej Góry czeka mnie najbliższe spotkanie z Dychowem, gdy wędrując po weranda bocznych uliczek napotkam przypadkowego przechodnia.

— Którędy na dworzec? — Pójdziemy razem — odpowiada życzliwie. — Wypadła mi nocna zmiana.

Niski przygarbiony człowiek idzie pewnie naprzód. Po drodze wyjaśnia: — Kocioł nawalił w elektrowni. A wie pan, jak to jest, że w noc późną najmniej się prądu zużywa, wieczorem to jest taki szczyt zapotrzebowania... — Uśmiecham się w ciemność, pełen świeżej wiedzy na ten temat. — No, to my wieczorem nie robimy, tylko w nocy, teraz. Ale Dychow wnet ruszy!

Przystanęłam. Za przygarbionymi ramionami małego, cichego, ciemnego przechodnia z Zielonej Góry ujrzałem postać innego człowieka, za którego plecami na mapie szóstą część globu jarzyły się liczne światła — źródło wspaniałej energii.

Roman Bratny

MARCELI RANICKI

NIEDOBRA KSIĄŻKA

Trzeba stwierdzić, że w zakresie przekładów z postępowej literatury niemieckiej ostatnich kilkunastu lat sytuacja na naszym rynku wydawniczym przedstawia się dobrze. W 1950 r. wydano książki Johanna B. Bechera, Fritz Erpenbecka, Hansa Fallady, Alfreda Kantorowicza, Bernarda Kellermanna, Hansa Marwitz, Jana Petersena, Bodo Uhse, Fryderyka Wolfa, przełożono książki mniej znanych, ale bezwzględnie na udogodnienie polskiego czytelnika zasługujących autorów, jak Elfriede Brünning, Walter Hasenclever i innych, wydano wreszcie — zastręgując na specjalne wyróżnienie — po osiem książek Anny Langner i Willi Bredla. W sumie kilkadziesiąt pozycji belewystycznych wydanych w niespełna półtora roku... Wiele jeszcze do tego dodamy fakt, że przeważająca większość tych książek ukazała się w przekładach dobrych, a w kilku wypadkach nawet świetnych, jeżeli uwzględnimy, że węgier książek niemieckich szybko wznowiono w masowych, tanich wydaniach (np. „Ocalenie” Anny Seghers, „Ojcowie” i „Spotkanie nad baro” Bredla, „Nasza ulica” Petera — mamy obraz ogromnego wkładu naszych centralnych instytucji wydawniczych w zakresie udogodnienia i upowszechnienia antyfaszowskiej literatury niemieckiej. Działalność ta jest poważnym wkładem naszych wydawnictw w dzieło przywrócenia polsko-niemieckiej, poważnym wkładem w walkę o pokój. Książki niemieckich pisarzy stanowią znakomite przyczynki do poznania niedawnej tragedii naszego zachodniego sąsiada, książki te utwierdzają setki tysięcy naszych czytelników w przekonaniu, że na ziemiach między Odrą i Łabą powstają nowe Niemcy, demokratyczne i pokojowe.

Dokonywany przez nasze wydawnictwa dobór książek niemieckich do tłumaczenia jest z zasady bardzo trafny. Ale zdarzają się czasem błędy i zasądzić, tym bardziej rację, że rzadkie. Polskie wydanie książki Marii Langner „Ostatni Balcion” to właśnie wynik takiej błędności. Sprawa to zbyt poważna, by ją pominąć milczeniem. Tematem książki są dzieje autorki przebiegające we Wrocławiu w okresie od stycznia do pierwszych dni maja 1945 r., a więc w czasie ostatnich miesięcy panowania hitlerowców w tym mieście. Przyjacieli autorki, lekarz dr Heisig, jest antyfaszystą, który stawiając fałszywe diagnozy pomagając zmobilizowanym do uniknięcia służby w armii hitlerowskiej. W szpitalu Heisiga pracuje także fanatyczna zwolenniczka Hitlera pani doktor Gerlach. Dowiadujemy się, że „doktor Heisig nie bierze poważnie pani doktor Gerlach. Nie bierze poważnie żadnej kobiety, chociaż w życiu jego odgrywa dość dużą rolę. Nazywa ją wszystkie „dzieciakami” i chociaż się nigdy o to poważnie nie stara, spotyka je ciągle na swojej drodze. Zawsze coś kobiecego jest w jego otoczeniu, zawsze jakaś istota między niedomastką a czterdziestką siedzi przy nim w samochodzie”. Oto — w pojęciu Marii Langner — najbardziej istotny rys charakteru antyfaszysty Heisiga...

Sprokowały przez Gerlach, Heisig wykiada przed nią czym prędzej swoje credo polityczne. Tego samego dnia zostaje zaareztowany i odtransportowany do sądu polowego. Są rozpatriuje jego sprawę, a tymczasem Heisig czeka w przyległym pokoju. Hitlerowcy, to najwiedźniej naiwni ludzie, którzy nie potrafili się obchodzić z arestowanymi antyfaszystami: zostawiają Heisiga bez dozoru, zamykając jedynie pokój na klucz. Ale po przezwyciężeniu straszenia pokój są drugie drzwi, i — o cudo — drzwi te nie są zamknięte, a sąsiedni pokój jest pusty. Heisig ucieka więc i udaje się do autorki książki. Jeszcze tego samego wieczora zjawia się w jej mieszkaniu SS. Heisig chowa się za szafą, ale SS-owcy znajdują Heisiga i wreszcie go wraz z Marią Langner. Cała reszta książki to opis przeżyć autorki w gestapoowskim więzieniu we Wrocławiu, gdzie przebywała ona do dnia kapitulacji. Autorka jest w więzieniu przeważnie zatrudniona jako kucharka dla oficerów SS z dyktorem więzienia włącznie. Daje jej to znaczną swobodę ruchów i możliwość poczynienia różnych obserwacji, mających największe — w pojęciu autorki — charakterystyczne — w hitlerowskie więzienie. Dowiadujemy się, że „Sturmabführer jadł na białej rozenthalowskiej porcelanie rokok, „wieśniowie ze statych, nabytych misek blaszanych. Sturmabführer syją w pomieszczeniu dobrze zabezpieczonym od bomb, „wieśniowie zaś śpią w ciemnych, wilgotnych lochach na starych, brudnych materacach”. Rozważając te „kontrasty społeczne” autorka dochodzi wreszcie do rewelacyjnego wniosku: „Światy i przepaście leżą między rozenthalowską porcelaną a blaszanymi miskami i nie ma ani jednej braterskiej myśli, która by stworzyła jakiś pomost między nimi”.

Spór gestapoowskich najwięcej uwagi poświęca autorka SS-Sturmabführerowi Jarossowi, dyktorowi więzienia. Dowiadujemy się, że w jego pokoju „unosi się delikatny zapach wody kolońskiej. Wszystko, co Jaross posiada, jest bardzo wykwintne i świadczy o najwyższej kulturze... jego umiejętności zachowywania uprzejmego, grzecznego dystansu sprawia miłe wrażenie.” Kiedyś jednak Jaross wyrzucił autorkę poważną krzywdę: wskazując na nią odezwał się do dozorczy wieziennego: „To kucharka, tak?” Autorka umie się znaleźć w sytuacji: „W tej chwili patrzę mu prosto w oczy, podnosząc brwi z chłodnym zdziwieniem, bardzo wyniosłe, i pytam lodowato: Proszę? — Później jednak autorka dochodzi do wniosku, że jej stosunek do Sturmabführera Jarossa nie jest właściwy: „Szukałam w nim ludzkiego uczuć może dlatego, bo jest przystojny, bo mówi „proszę” i „dziękuję”... wstydy się, że jako więziennik uważałam kontakt z szefem za wysoki zaszczyt, że uważałam, iż jest sympatyczny.”

Więziennowie polityczni nie wzbudzają zainteresowania Marii Langner. Sprawom erotycznym w więzieniu poświęca natomiast wiele uwagi: „Zjawienie się nowej kobiety to zawsze sensacja. Jeśli jeszcze nie chodzi o lasce, nie cieknie jej z nosa i nie ma wulka na ramieniu, natychmiast zostaje wciągnięta w krąg możliwości, obiecujących mężczyźni radość i zapomnienie... przywykłyśmy do błyskawicznie taksujących, wygłówniających spojrzeń mężczyzn.”

Także osoba autorki wzbudza zainteresowanie erotyczne SS-owców: „Ci, którzy są wolni od służby... usiłują namówić mnie na wieczorną schadzkę na podwórzu”. Z jakim wynikiem? Autorka wyznaje nam to nieco później: „Nie jestem ładna, nie jestem młoda ani elegancka... nie, przy całej kobiecej próżności trzeba przyznać, że nie oczarowałam nikogo.”

Sądzę, że powyższe cytaty dostatecznie obrazują rodzaj „literatury”, z jakim mamy tu do czynienia. Ale mniejsza już o całkowitą nieudolność literacką autorki, mniejsza o trudną do zniesienia banalność. Langner nie potrafi odróżnić wydarzeń i postaci przypadkowych i nie typowych od takich, które charakteryzują i uwypuklają ostatni odcinek zbrodniczego panowania hord hitlerowskich. Skupiając natomiast całą swoją uwagę na zjawiskach błahych i marginesowych, daje ona fałszywy, całkowicie wypaczony obraz brunatnych zbiorów i gestapoowskich więzień. Sposób, w jaki Langner przedstawia bohaterką działalność niemieckich antyfaszystów, reprezentowanych w książce jedynie przez dra Heisiga, godzi — zapewne wbrew woli autorki — w pamięć tych, którzy podjęli i wytrwale kontynuowali nierówną walkę z hitleryzmem w samym centrum jego straszliwej przemocy.

„Ostatni bastion” został wydany kilka lat temu przez jedno z prywatnych wydawnictw berlińskich. Polskie wydanie tej książki — na domiar złego w nakładzie aż 13.000 egzemplarzy! — jest niewątpliwie wynikiem poważnego niedopatrzenia, jest szkodziwą pozycją na naszym rynku wydawniczym. Sprawa ta usławnia nam z całą wyrazistością, jak wielką jest odpowiedzialność społeczna recenzentów i lektorów wydawnictw, kwalifikujących książki do przekładu.

Marceli Ranicki

NOWY MIESIĘCZNIK „W obronie pokoju”

Ukazał się pierwszy numer polskiego wydania organu Światowej Rady Pokoju, miesięcznik, pt. „W obronie pokoju”.

Pismo to redagowane przez czołowych publicystów francuskich Pierre Cota i Claude Morgana ukazuje się już w 11 krajach. Jest ono widocznym przejawem jedności wszystkich narodów w walce o pokój. Na jego łamach mają możliwość wypowiadania się i wymiany poglądów wszyscy ludzie dobrej woli.

„Na drodze zapoznania się z różnymi stanowiskami — stwierdza artykuł wstępny — będziemy dążyli do wzajemnego przekonywania się do wspólnego wyjaśniania wszelkich wątpliwości. Tym samym pokazywać będziemy naszym Czytelnikom, jak żyją i myślą ludzie na całym świecie, ci prości ludzie, którzy tworzą historię. Sądzimy, że bogactwem ludzkości jest jej różnorodność, że ludzkość to nie jest jeden kraj, kontynent czy ustrój, lecz ludy i ludy w ciągłej rewolucji, ludzie i ludy bardzo różne, a równocześnie bardzo podobne, gdyż wszystkie potrzebują i pragną pokoju.”

Będziemy dumni z naszej pracy, jeśli przysłuży się ona sprawie utrzymania i wzmocnienia pokoju.”

Pierwszy numer miesięcznika „W obronie pokoju” zawiera m. in. następujące artykuły: Oskara Lange „Współistnienie dwu systemów gospodarczo — społecznych w ekonomice i polityce światowej”. Roberta Chambeiron „Międzynarodowa konferencja ekonomiczna w Moskwie”, Alfreda G. Birchetta „Pięć milionów chłopów zmienia geografie Chin”, Mikołaja Tichonowa „W kraju 60 tysięcy jezior” (reportaż z Finlandii), Claude Morgana „Spotkanie nad Szprewą”, Edmunda Osmańczyka „Polacy i Niemcy”, Pawła Jasienicy „Prawo do traktora” i inne.

Różnorodność tematów i wysoka jakość zamieszczanych w piśmie artykułów winny zapewnić nowemu miesięcznikowi szeroką poczytność w naszym kraju.

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

Z SAL KONCERTOWYCH

Bach, Haendel, Brahms, Mussorgski w Filharmonii Warszawskiej

Dnia 28 września br. odbył się drugi w bieżącym sezonie koncert piątkowy Filharmonii warszawskiej, powtórzony następnie 30 września jako niedzielny poranek. W przeciwnieństwie do koncertu inauguracyjnego złożonego w lwiej części z utworów żyjących polskich kompozytorów — tym razem program zestawiony był z dzieł klasyków (Bach, Haendel), oraz mistrzów dziewiętnastego wieku (Brahms, Mussorgski). Program nadzwyczaj interesujący, piękny i dobrze ułożony. Chociaż... Jest mimo wszystko pewne „ale”: na koncercie tego typu niezbyt wypada podawać Bacha w wyjątkach (Aria z Suty D-dur), mimo iż ta własna Aria w licznych przeróbkach i opracowaniach nieraz bywa wykonywana osobno. Należałoby raczej wykonać Suitę w całości, tym więcej, że program pierwszej części koncertu trwał stanowczo zbyt krótko. Poza tym — uczyniono pewną krzywdę Haendlowi zestawiając go bezpośrednio z Bachem. Pomimo całego piękna, jakie zawiera jego Concerto Grosso op. 6 nr 5, mimo mistrzostwa formy, płynności i bogactwa inwencji, utwór ten wyraźnie traci przy miniaturowym arcydziele, jakim jest Aria Bacha, i wydaje się uboższy, jakby mniej szlachetny. Ta sama epoka (Bach i Haendel byli rówieśnikami), ten sam prawie styl, ale jakże różny ciężar gatunkowy, jakże odmienna siła wyrazu, siła oddziaływania na słuchacza. Haendla słucha się z przyjemnością i zadowoleniem, tym specyficznym zadowoleniem, jakie daje muzyka dawnych mistrzów. Wobec głębi i skupienia muzyki Bacha, wobec narzucającego się nieodparcie wrażenia monumentalności Arii, liczącej przecież tylko kilkadziesiąt skromnych taktów, wobec surowego a dostojnego jej piękna i żelaznej logiki konstrukcyjnej, stajemy pełni podziwu, zachwytu i uwielbienia, jakie wywołuje może tylko skończona dzieło sztuki. Rzadko kiedy geniusz Bacha uwypukla się tak silnie, jak właśnie na tle najlepszych osiągnięć twórczych współczesnej mu epoki.

W drugiej części programu usłyszeliśmy koncert na skrzypce i orkiestrę D-dur Jana Brahmsa. Utwór ten, napisany w najdojrzalszym młodości twórczości wielkiego kompozytora, świadczy o wyrazistej konstrukcyjnej i stylistycznej konceptualności Beethovena. Genialna indywidualność Brahmsa wycisnęła tu jednakże tak silne piętno, że w rezultacie pomiędzy tymi dwoma dziełami pozostało tylko pewne pokrewieństwo ideowe.

Obszerna ekspozycja orkiestrową rozpoczyna temat pierwszy — spokojny, skupiony majestatyczny. Z jego protota i monumentalną siłą rywalizować może chyba tylko główny temat koncertu fortepianowego B-dur (nigdy niestety u nas nie grywanego!) tegoż kompozytora. Następujący niemal bezpośrednio po pierwszym temat drugi przynosi wiele lirycznego ciepła i tony brahmsowskiej refleksyjnej zadumy. Ekspozycja zawiera ponadto jeszcze kilka tematów pobocznych, a raczej załączków tematycznych, które dopiero w dalszym przebiegu utworu zostają rozwinięte. Wejście skrzypiec rozpoczyna się od wirtuozowskiej introdukcji, po której wraca cała ekspozycja od początku do końca rozszerzona tym razem i wzbogacona przez ornamentalne szczegóły, które wnoszą partia instrumentu solowego. Załączki tematyczne zawarte w ekspozycji orkiestrowej znajdują teraz pełne zastosowanie i ukazują się w postaci całkowicie już rozwiniętej i ukształtowanej. Nie wszystkie jednak. Jeden z nich — skromny motyw, złożony z trzech powtarzających się dźwięków — rezerwuje kompozytor, by w następnym ogniewie konstrukcyjnym tej części (zwanym w formie sonatowej: „przetworzeniem” lub „przeróbką”) rozwinąć w szeroki temat pełen melodyjnego bogactwa i piękna. W ten sposób tradycyjne przetworzenie sonatowe, polegające na przepracowywaniu fragmentów tematycznych ekspozycji zostało tu zastąpione odrębnym epizodem, a jednocześnie już znanym, bo jego załączek mieścił się w materiale tematycznym pokazanym na początku w zwężonej, lakonicznej formie. Intencja kompozytora jest zrozumiała: element przetworzenia tematycznego był już szeroko stosowany we współczesnej ekspozycji solisty i orkiestry, znajduje się również w repertuarze, która jest mniej lub więcej wiernym powtórzeniem ekspozycji. Wprowadze-

KOMUNIKAT

Biblioteka Instytutu Badań Literackich — Warszawa, ul. Śniadeckich 8 — zakupi następujące wydawnictwa:

1. Tygodnik Powszechny. Warszawa 1891.
2. Poradnik dla czytających książek. Warszawa 1902.
3. Warszawa. Pułtusk 1912.
4. Nowy Głos. Warszawa 1913 — 1914.
5. Nowa Trybuna. Petersburg 1914.
6. Głos. Warszawa 1914.
7. Kultura Mas. Moskwa 1930 — 1935.
8. Nowa Kronika. Lwów 1931 — 1932.
9. Front Ludowy. Warszawa 1934 — 1935.
10. Albo, Albo. Kraków 1937 — 1938.

Posiadających wymienione czasopisma prosimy o skontaktowanie się z kierownikiem Biblioteki.

nie samoistnego, kontrastującego i dość krótkiego epizodu na miejsce przetworzenia likwiduje niebezpieczeństwo dłużyni, która by mogła powstać w tak bardzo rozbudowanej części pierwszej koncertu. Oto przykład twórczego stosunku do klasycznej struktury sonatowej, stosunku, który formę tę prowadzi na drogę rozwoju i postępu.

W dalszym przebiegu pierwszej części powraca Brahms do tradycyjnych zasad konstrukcji. Po reparycie następuje solowa kadencja wirtuozowska skrzypiec i pełna rozmachu, po beethovenowsku rozszerzona Coda.

Część druga (Adagio) — to całkowite przeciwieństwo części poprzedniej. Silnemu, niekiedy dramatyzmu napięciu tamtej przeciwstawia Brahms nastrój łagodny, trochę nokturnowy, charakter Romanzy czy też krótkiego Intermezza. Pełna melodyjność czaru kantylena pozwala skrzypcom pokazać całą swą śpiewność.

Soczysty, nacechowany ludowym — węgierskim, a może więcej, słowiańskim charakterem temat rozpoczyna finałowe Allegro giocoso. Temat ten powraca kilkakrotnie i staje się podstawowym elementem Ronda, w której to formie ostatnia część jest utrzymana. Kapitałnym zamknięciem arcydzieła Brahmsa jest epizod końcowy: żywe, trochę marszowe tempo zostaje niespodzianie zwolnione, a powraca refleksyjny nastrój części pierwszej, aby po chwili zakończyć się mocnym, zdecydowanym akordem.

Wykonanie koncertu Brahmsa było dużym sukcesem solisty Tadeusza Wrońskiego. Skrzypce ten poczynił w ostatnich czasach ogromne postępy. Dysponuje bezbłędnie techniką i ładnym, miłym tonem, a nade wszystkim dużą kulturą i muzykalnością. Dać dobrą, utrzymaną w stylu interpretację koncertu Brahmsa, rozwiązać ciężkie problemy techniczne, którymi jest najczystszy, umieć zrezygnować z efektownej wirtuozerii, z osobistego popisu, a osiągnąć wzajemnie nastrój powagi i skupienia tak właściwy dziełom Brahmsa — to dowód pełnej dojrzałości artystycznej, zasługującej na wielkie uznanie.

Na zakończenie koncertu wykonano poemat symfoniczny „Noc na Łysej Górze” Mussorgskiego. Utwór ten zinstrumetował po śmierci kompozytora Rimski-Korsakow. Znajdujemy w nim wiele świeżości i barwności, wiele sugestywności w muzycznym „opisie” fantastycznych obrazów sabatu czarownic. Mimo to jednak, mimo bogactwa i rozmachu inwencji, mimo typowej dla Mussorgskiego odkrywczej śmiałości harmoniki — utworu tego nie możemy zaliczyć do najlepszych pozycji genialnego kompozytora, zwłaszcza gdy pomyślimy o takich arcydziełach jak „Borys Godunow”, „Pieśni i tańce o śmierci” czy „Obrazki z wystaw”.

Kapelmistrz Witold Krzemieński wykazał, że umie dobrze wypracować z orkiestrą nawet najdrobniejsze szczegóły. Dzięki temu arcytrudny akompaniament do koncertu Brahmsa wykonany był czysto i precyzyjnie, co już jest oczywiście bardzo dużo. Brakło natomiast jakiegś jednolitego koncepcji, a poszczególne templa i odcienie dynamiczne nie stwarzały tego specyficznego klimatu, który wiąże się nieodłącznie z muzyką Brahmsa. Mieilibyśmy również zastrzeżenia co do interpretacji klasyków w pierwszej części programu. Dobrze natomiast wypadł utwór Mussorgskiego. Tylko — dlaczego usunął dźwięcy, tak potrzebne w końcowym fragmencie „Nocy na Łysej Górze”? Czyżbyśmy znów mieli do czynienia z jakimś „twórczym opracowaniem”, czy też po prostu Filharmonia Warszawska nie posiada dźwięków o odpowiednim stroju? I w jednym, i w drugim wypadku sprawa jest nieuzupełniona w porządku. Dzieła wielkich mistrzów wymagają od wykonawców maksymalnego pietyzmu i najdrobniejszego nawet zaniedbania są niedopuszczalne.

Wawrzyniec Żuławski

JOHANNES R. BECHER POŻEGNANIE		
str. 459		zł 15.60
♦		
EJWIND BOLSTAD SPEKULANT		
str. 230		zł 9.80
♦		
KAROL DICKENS KLUB PICKWICKA Tom I/II		
str. 530 i 498		zł 30.—
♦		
JEAN PREVILE DZIEŃ ZASWITAŁ W TOURS Narodzinny Komunistyczny Partii Francji		
str. 164		zł 6.50
♦		
ALOJZY JIRASEK UROKI ŚWIATA Wydanie drugie		
str. 218		zł 8.40
♦		
ALFRED KANTOROWICZ NOTATNIK HISZPAŃSKI		
str. 393		zł 14.—
♦		
ROBERT MENDE BRUK I GWIAZDY		
str. 482		zł 16.50
♦		
JO MIHALY OBROŃCA BRATA SWEGO		
str. 207		zł 6.20
♦		
ALEKSANDER SAXTON STACYA GREAT MIDLAND		
str. 468		zł 19.—
♦		
ARNOLD ZWEIF TOPÓR Z WANDSBEK		
str. 349		zł 13.—
♦		
PAŃSTWO INSTYTUT WYDAWNICZY		

Z działalności sekcji twórczych Z. L. P. w Warszawie

SEKCJA LITERATURY DZIECIĘCEJ I MŁODZIEŻOWEJ

3 października br. wznowiła swoje prace po letniej przerwie Sekcja Literatury dla Dzieci i Młodzieży przy Zw. Literatów.

Temat pierwszego posiedzenia członków Sekcji stanowiły dwie sprawy: 1) ocena prac Sekcji dokonanych w roku ubiegłym oraz 2) ustalenie planu pracy Sekcji na rok bieżący.

W pierwszej sprawie referat sprawozdawczy wygłosiła Wanda Żółkiewska stwierdzając, że mimo wielu pozytywnych osiągnięć praca Sekcji w roku ubiegłym nie była całkowicie zadowalająca. Zasadniczą przeszkodą był brak głębszego zainteresowania członków Sekcji rodzinną twórczością oraz twórczością Związku Radzieckiego i demokracji ludowych. Dyskusje nad pozycjami rodzinnymi i obcymi oraz nad zagadnieniami teoretycznymi nie znajdowały dostatecznej ilości dyskusyjantów, odbywały się w gronie zawsze jednych i tych samych osób. Zarząd Sekcji grzeszył nieumiejętnością uaktywnienia członków. Wielka ilość referatów Sekcji stawała się dla Zarządu wobec konieczności zmian planu, działaniem od wypadku do wypadku, co ogromnie utrudniało pracę i powodowało zamęczenie wytycznych linii w pracach Sekcji.

Mimo tych braków rok ubiegły sementował ludzi przy wspólnej pracy, dał im teoretyczne podstawy do przyszłych rozważań, postawił zagadnienia literatury dla dzieci i młodzieży na właściwym gruncie, wreszcie pomógł jednemu pisarzowi w jego aktualnej pracy. Niemniej bieżący rok musi dać więcej, musi przynieść uaktywnienie wszystkich członków Sekcji, ścisłą współpracę z wydawnictwami, wspólne wraz z nimi oddziaływanie na politykę kulturalną. Aby doprowadzić do tego zadowalającego stanu rzeczy konieczne jest przygotowanie planu pracy na bieżący rok. Szerokie ramy tego planu sugerowane przez Zarząd obejmują pięć różnych dziedzin życia literackiego w zakresie literatury dla dzieci i młodzieży: 1. Omówienie wybitnych pozycji, które ostatnia ukazały się w druku. 2. Dyskusje nad książkami na warsztacie. 3. Omawianie książek radzieckich tłumaczonych na jęz. polski. 4. Zreferowanie dyskusji o literaturze dziecięcej toczącej się obecnie w Związku Radzieckim. 5. Referaty na tematy aktualne.

Dyskusja, która rozwinęła się po referacie W. Żółkiewskiej, pozwoliła szczegółowo uzupełnić proponowany przez Zarząd plan prac Sekcji. Propozycja kol. Kulickowskiej, by w referatach wychodzić od zagadnień teoretycznych szeroko rozpracowanych, podbudowanych doświadczeniami literackimi Zw. Radzieckiego, do konkretnych pozycji polskich, by w ten właśnie rozległy sposób referować i dyskusować nasze książki, znalazła uznanie u wszystkich członków Sekcji. Kol. Kozłowski poddał pod dyskusję pomysł łączenia w grupy pozycji literackich podejmujących analogiczne zagadnienia aktualne (np. Walka o Pokój, Plan Śześcioletni) w literaturze dla dzieci i zbiorowe omówienie tych pozycji w sensie ujawnienia sposobów trafnych lub niewłaściwych dla opracowania tego typu zagadnień. Chodzi tu więc i o analizę samych problemów, i o analizę literacką sposobu ich wyrażenia.

Obszerna dyskusja, w której głos zabierali kol. kol. Bobińska, Grodzieńska, Kowalewska, Centkiewicz, Żółkiewska, Zagala, Kozłowski, Kann, Jeżewska, Rymkiewicz, Borudka, Michalska i inni, wypełniła konkretnymi tematami i pozycjami ramy planu, rozszerzając jednocześnie jego zakres i ulepszając metody pracy w Sekcji.

Ubiegłoroczny skład Zarządu Sekcji w osobach Kol. Kol. Bobińskiej,

Grodzieńskiej, Januszewskiej, Żółkiewskiej powiększony został przez kol. Rudnicką, przyjętą jednogłośnie przez członków Sekcji.

Inauguracyjne zebranie Sekcji Literatury dla Dzieci i Młodzieży dało obfity materiał do całorocznej pracy, czynna zaś postawa zebranych pozwala rokować najlepsze nadzieje dla przyszłych prac Sekcji.

Posiedzenie zakończono ustalając termin następnego na środę 17 października. Tematem tego posiedzenia będzie omówienie metod korzystania z materiałów historycznych. Referować będzie kol. Bobińska, koreferować kol. Pauszer-Klonowska. Materiałem rozważań będą pozycje historyczne pisarzy radzieckich oraz książka Haliny Rudnickiej o Dzierżyńskim pt. „Płomień gorejący”.

SEKCJA TŁUMACZY

2 października odbyło się zebranie Sekcji Tłumaczy ZLP. Zebraniu przewodniczył Paweł Hertz, który omówił pracę Sekcji w roku ubiegłym i przedstawił w imieniu zarządu Sekcji plan pracy na rok 1951/52.

Omawiając pracę Sekcji w minionym okresie mówca podkreślił, że rok ubiegły charakteryzowały pewna spontaniczność i eklektyzm. Sekcja niemal wyłącznie zajmowała się zagadnieniami warsztatowymi pracy tłumacza. Wynikiem był brak oddziaływania Sekcji na zewnątrz. Ale był to przecież próbny rok pracy Sekcji. Braki minionego okresu postara się Sekcja naprawić w nowym okresie pracy.

Plan tej działalności dzieli się na dwa zasadnicze działy: prace seminaryjne poświęcone spornym zagadnieniom terminologicznym, zbiorowym próbom przekładu tekstu klasycznego i analizie adiustacji tekstu; drugi dział obejmie zebrania dyskusyjne poprzedzone referatami o przekładach z poszczególnych języków; będzie to próba oceny dorobku w dziedzinie przekładów od r. 1945, następnie referaty informacyjne o literaturze bieżącej ze szczególnym uwzględnieniem literatury radzieckiej, zebrania wspólne z sekcjami dramatu i poezji poświęcone analizie przekładów z tych dziedzin. Sekcja Tłumaczy zajmie się również sprawami przekładów literatury dla młodzieży, sprawą tłumaczenia napisów filmowych i krytyki przekładów.

W ożywionej dyskusji nad oceną ubiegłego okresu pracy Sekcji i projektem planu pracy na rok 1951/52 zabierali głos: Z. Szleyen (dokończona do zarządu Sekcji), A. Galis, A. Mauersberger, M. Kowalewska, M. Smolarski, J. B. Rychliński, Z. Bystrzycka, I. Czermakowa, J. Brzdziak, J. Dmochowska i inni.

Dyskusja wysunęła wiele projektów rozbudowania i pogłębienia planu pracy od strony ideologicznej. Projekty i wnioski przekazane zostały zarządowi Sekcji. Następne zebranie Sekcji w dn. 14.X poświęcone będzie skonkretyzowaniu planu pracy, przydziałowi tematów do opracowania prelegentom oraz omówieniu przekładów z literatury polskiej, które ukazały się ostatnio w Związku Radzieckim.



J. W. STALIN
DZIEŁA

Str. 496 T. 4 zł 4.50

Dotychczas wyszły z druku następujące tomy Dzieł Józefa Stalina: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8 i 10.

W najbliższych dniach ukaza się Tom 3 i Tom 9.

„KSIĄŻKA I WIEDZA”

UKAZAŁ SIĘ PAŹDZIERNIKOWY, 10 (88) 1951 R., ZESZYT MIESIĘCZNIKA „PAŃSTWO I PRAWO”

numer zawiera następujące prace:

Prawo pracy a przeciwnieństwo między pracą umysłową i fizyczną (M. Świętlicki)
Ludwik Gumplowicz jako teoretyk państwa (J. Baszkiewicz)

Z zagadnień ustrojowych Wielkiej Brytanii i Imperium Brytyjskiego (S. Rozmaryn)
Sprawa reprezentacji Chin w ONZ (L. Geiberg)
Ustawa o obywatelstwie (W. Czapiński)
Wybory do Zgromadzenia Narodowego we Francji (17.VI.1951) (J. Stembrowicz)
Stosunki majątkowe małżonków według kodeksu rodzinnego (J. Witecki)

H. Fabre — Theorie des democraties populaires (rec. S. Rozmaryn)
Nowoczesna reklama czyli Hansard Society i jego wydawnictwa (S. Rozmaryn)
Marian Muszkat — U źródeł imperialistycznej polityki ochrony zbrodniarzy wojennych (rec. R. Bierzaniek)
Rocznik Prawa Międzynarodowego (rec. J. Sztucki)
F. W. Kohnszyn — Ubezpieczenia państwowe w ZSRR (rec. W. Koronowski)
Poza tym: Orzecznictwo Cywilne, Orzecznictwo Karne, Orzecznictwo Arbitrażowe oraz Polska Bibliografia Prawnicza

Streszczenia w języku rosyjskim i angielskim (wkładki)

Adres Redakcji: Warszawa, ul. Marszałkowska 8 m. 14. Tel. 814-02. Prenumerata półroczna zł 18, roczna 36 zł. Prenumeratę przyjmują wyłącznie PPK „Ruch”, Warszawa, ul. Śrebrna 12, tel. 804-20, konto PKO nr 1-14007. Sprzedaż archiwalna: PKO I-15207. Cena pojedynczego numeru wynosi 3 zł.

